24

CENA 5 ZŁ

Pobudka
TYGODNIK

ROK II | Łódź, dnia 22—29 grudnia 1946 r. | Nr 50-51(64-65)

A POKÓJ NA ZIEMI

...a pokój na ziemi!...

***

A szary człowiek czyta w prasie: „Burma walczy o wolność"... „Walki w Grecji"... „Stan wyjątkowy w Turcji"... „Rozruchy w Egipcie"... „Nowe zamachy i nowe aresztowania w Palestynie"... czyta te wiadomości w prasie i śpiewa —

...a pokój na ziemi!...

I niby działania wojenne zostały zakończone jeszcze w ubiegłym roku, a o pokoju nie tylko szary człowiek w kolędach bożenarodzeniowych śpiewa, ale o pokoju dyskutują i radzą najwybitniejsi mężowie stanu i najwybitniejsi politycy.

Pokój — nie został jeszcze wygrany. Zakończono jedynie działania wojenne.

A przecież najwyższy czas chyba, by zrozumieli wszyscy, że ludzkość, że szary człowiek potrzebuje, pragnie, tęskni i czeka na pokój. Że szary człowiek nie chce już nigdy przeżywać koszmarnych lat 1939—1945, nie chce już nigdy dni mordów i krwi, a chce — tworzyć!

Tworzyć dobry i sprawiedliwy świat!... Świat pokoju!...

***

...a pokój na ziemi!...

Pod polskim zaś niebem, na polskich drogach — giną codziennie budowniczy i przodownicy dzisiejszego ładu od kul strzelanych przez... Polaków.

A w Polsce, za pracę nad lepszym jutrem dla wszystkich, za tworzenie z gruzów i popiołów, za wysiłek, zmierzający do poprawy bytu i stanowiska najszerszych mas pracujących — grozi wyrok wydany przez „leśnych bohaterów" i granat rzucony wieczorem do izby...

A w Polsce — miast wspólnym wysiłkiem dźwignąć zrujnowaną Ojczyznę do nowego, lepszego życia — bruździ się i morduje, pluje i burzy, szkaluje się i kłody pod nogi rzuca tym, którzy — tworzą.

I są chwile, w których człowiek zastanawia się nad pewnymi sprawami i szuka rozwiązań pewnych zagadnień. Są chwile — w których człowiek myśli o sprawach — naszkicowanych przed chwilą.

I chyba nie będzie odpowiedniejszej chwili do zastanowienia się nad tymi zagadnieniami niż właśnie ta, w której śpiewać będziemy:

...a pokój na ziemi!...

Niech te słowa przyjmą raz wreszcie konkretne i zdecydowane kontury! Niech wreszcie będzie — pokój! Przede wszystkim u nas. W Polsce! W zrujnowanej i potrzebującej tak wiele rąk, tak wiele mózgów i tak wiele serc, w budowaniu Jej przyszłości, Ojczyźnie naszej, do której tak mocno, tak uparcie tęskniśmy w latach niedawnych i o którą tak po naszemu, po polsku potrafiliśmy bić się i za którą potrafiliśmy — zwyczajnie i po prostu umierać.

Niech słowa, mówiące o pokoju przypomną tym wszystkim, którzy nie zawsze potrafili i potrafią to zrozumieć — że właśnie dla dobra Polski i dla dobra nas, nas wszystkich — koniecznym nam jest wewnętrzny pokój i wzajemne, uczciwe zrozumienie i wspólny, braterski wysiłek.

Może wtedy będziemy mieć bardziej jasne i bardziej uśmiechnięte oczy, gdy za rok znów śpiewać będziemy:

...a pokój na ziemi!... J.

By zrodziły się spokój i jedność

Umysł ludzki ma cudowny, kojący dar zapominania. Kiedyś, przed dwoma laty, szalała po świecie wojna. Wybuchy bomb, pożary miast, place straceń...

Setki tysięcy ludzkich tragedii na ziemi, na morzach, w powietrzu...

Kiedyś przed dwoma laty, na każdą uroczystość rodzinną i na każde święto kładł się ponury cień okupacyjnej zmory.

Gdy podczas wigilijnej wieczerzy 43 roku łamaliśmy się opłatkiem, my z nieulękłej Warszawy, my z groźnej podziemnej Łodzi — i wy, idący z dalekiej, mroźnej Rosji, wy z „Dywizjonu 303" i wy z „Karpackiej" — wtedy nie było w nas ani radości, ani podnoszącego świątecznego nastroju. Coś tam w oku niejednemu błyszczało i coś tam mocno trzymało za gardło.

I myślało się o „Tej ,co nie zginęła". Śnił się na jawie piękny sen wolności: i Wam za daleką granicą i nam w kraju. Tylko, że nam w melodię kolędy wplątał się brutalny, żołdacki krok niemieckiego patrolu.

Staraliśmy się zapomnieć o nim, zgłuszyć go rozbrzmiewającym wśród kolęd „Sercem w plecaku" czy „Płaczącymi wierzbami". Bo taki to już był zwyczaj niepisany, że jednak zawsze, przy każdej okazji musiały te „Wierzby" i „Serce w plecaku" wyskoczyć.

Była moc i była wiara, która trzymała nas na przekór, na złość wrogom.

Nadszedł rok 44. Rozpętało się piekło nad Warszawą. I znowu Wigilia. Ale już nie u siebie w domu, na słonecznym Dolnym Mokotowie.

Po zniszczonej, zburzonej Stolicy hulały wiatry, złowrogo dźwięczały i jęczały gzymsy i żelastwa.

Sterczące warszawskie kikuty z zazdrością patrzyły na pokiereszowany, ale wolny, polski, praski brzeg.

Nigdzie nie było napisane, że to mijały ostatnie wojenne święta. Ale czuliśmy to wszyscy, rozumiało się to samo przez się.

Więc mimo śmierci najbliższych, mimo rodzin w stallagach, oflagach, konzentratzionslagrach, mimo tragedii sierpniowej i rozproszenia — znowu między kolędami w niejednym, polskim mieszkaniu popłynęły przy choince dźwięki „Serca".

Wiara nas nie zawiodła, przeczucia nie omyliły. Rok 1945 zerwał ostatecznie kajdany niemieckie.

I teraz obchodzić będziemy drugą wolną wigilię, u siebie, bez wroga, bez knuta nad głową.

Ale czy bez nabitego „empi"? Czy u nikogo w skrytce nie leży nagan, pod wanną nie chowają się plany, szkice, rozkazy?...

To prawda, że wielu jeszcze boryka się z nędzą, że nerwy nie-wszystkich jeszcze uspokoiły się po bolesnych stratach. To prawda, że nie wszyscy bliscy powrócili z obczyzny, choć dawno już mogli to uczynić.

Ale prawdą jest również i to, że jeśli jednak dziś, po tylu miesiącach wolności i Niepodległości padają jeszcze skrytobójcze strzały, że jeśli dziś matki opłakują synów, którzy zginęli nie w walce z Niemcami, a w walce z bratem Polakiem, i jeśli zdarza się dziś, że nagan jest nabity i nie stanowi jedynie legalnej wojennej pamiątki, że są ręce i oczy polskie, które do polskiej piersi mierzą z „pepeszy" — to nasze święta nie mogą być beztroskie swobodne, szczęśliwe.

To jest może bardzo brutalne, ale bywają ofiary konieczne, niezbędne. Są ludzie, których śmierć innym przyniosła wyzwolenie.

Ale gdy dziś usiądziemy przy stole wigilijnym, gdy spojrzymy w roześmiane twarze dzieci, — pomyślmy: komu potrzebne są nowe trupy, nowe wdowy, nowe sieroty.

A co najdziwniejsze, że ten, który z za węgła strzela, siejąc anarchię i zniszczenie, że ten degenerat mieni się być — chrześcijaninem.

Jedną ręką łamie opłatek, drugą zabiera dzieciom ojców, żonom-mężów.

Najbezwstydniejsze bluźnierstwo, najbardziej wyrafinowany cynizm.

Polski pracowniku! Polski robotniku i chłopie!

Między Tobą a nim nie przerzuci się już mostu pojednania. I mimo, że dzień ten jest dniem przebaczenia, mimo, że umysł ludzki potrafi zapomnieć — my nie zapomnimy, nam nie wolno zapomnieć, że są w Polsce „ludzie", którzy w niwecz chcą obracać nasz trud, wysiłek, naszą dobrą wolę. My nie zapomnimy, że są w Polsce tacy, którzy prą do nowej wojny i zgliszcz, mącą nam radość świętą, radość z wspaniałego dorobku odbudowy politycznej, gospodarczej, kulturalnej.

My już mamy dość wigilii wojennych!

My chcemy spokoju, twórczej owocnej pracy.

K. Piechowicz.

od niedzieli —

No i znów — święta...

Znów — wigilia, opłatek, życzenia, gwiazdka... Będziemy sobie dłonie ściskać śpiewać kolendy, składać życzenia... Niektórym łza tam w oku błyśnie na myśl— że kogoś brak przy wigilijnym stole, brak kogoś — kto jeszcze nie wrócił, lub brak kogoś — kto już nigdy nie wróci.

Święta... Święta narodzin Człowieka który głosił słowa miłości i Sprawiedliwości, który występował przeciwko pysznym i bogatym, który wyszedł z ludu i nauczał lud. Święta narodzin — syna cieśli.

Legenda mówi — że narodził się w Betlejem, ziemi żydowskiej, że prości pastuszkowie pierwsi doń pośpieszyli i hołd mu oddali, a potem, to i królowie ze złotem przyszli, a gwiazda, która nad betlejemską szopą błyszczała — wskazywała im drogę.

Co innego, że nowonarodzony nie dał się kadzidłem i złotem przekupić, a w nauce swej gromił czcicieli złota, przepowiadając im, iż łacniej wielbłąd przez ucho igielne przejdzie, niż oni do nieba trafią...

Tak było przed blisko dwoma tysiącami lat...

A dziś?...

**
*

Dziś nad Betlejem gwiazda już nie świeci i nie słychać pastuszkowych śpiewów. Dziś nie ze złotem możni tego świata spieszą do ziemi żydowskiej, a po złoto i nie w pokorze, a zbrojni w karabiny maszynowe i samochody pancerne.

Dziś — ziemia żydowska jest wrzącym kotłem, który raz po raz krwią spływa, który wypełnia się detonacjami rozrywanych bomb i strzałów karabinowych.

Dziś — ziemia żydowska jest ciągle rozkrwawioną raną, a pastuszkowie — za drutami obozu koncentracyjnego na Cyprze — marzą o wolności i betlejemskich dolinach.

I kto wie, gdybyśmy te czasy z przed dwu tysięcy lat przenieśli w dzisiejszą rzeczywistość, czy by Józef - cieśla nie znalazł się również na Cyprze. Kto wie...

**
*

Z świętami są powiązane różnorodne zwyczaje.

Niektóre z nich zanikają powoli, inne utrzymują się i są jeszcze przestrzegane. Nie wszędzie powiedzmy, podkłada się dziś siano pod obrus i nie wszędzie pilnuje obowiązkowych ilości dań wieczerzy wigilijnej ale takie zwyczaje jak choinka i gwiazdka — utrzymują się prawie wszędzie.

Tylko, że z tą gwiazdką to też różnie Jednych stać na gwiazdkowy upominek, innych — jeszcze nie. Jedni dostają, a inni — nie.

I dlatego ucieszyłem się, że ONZ przynajmniej o niektórych narodach pamiętała. Ucieszyłem się, tak samo mocno, jak chyba i Wy wszyscy, że o generale Franco nie zapomniał.

CO NAJCIEKAWSZE

NIEZWYKŁY „MISTRZ".

Wiadomo, że w Ameryce istnieje mania tytułowania. Jednak zamiast hrabiów, książąt itd. widzimy tam „mistrzów", „szampionów", „speców".

Nie wszystkim natomiast wiadomo, że Jules Romain znany pisarz francuski nie bardzo przysłużył się Francji podczas wojny, stając mniej lub więcej wyraźnie po stronie ...Vichy.

Jednak Romains dba oczywiście o swą reklamę i w reakcyjnych środowiskach USA. cieszy się wielką popularnością. Ostatnio jedno z pism nowojorskich nazwało go: „Mistrzem Francji Walczącej".

Wywiad utrzymany był w poważnym tonie i tytuł wcale nie miał być ironiczny. Ano naprawdę niezwykły „mistrz".

„MAGICZNE SKRZYPCE".

Polityka rządu Labour Party w Anglii wydaje nam się dziwna. Labourzyści przyjmują Schumahera, prowadzą politykę imperialną, i w żaden sposób nie chcą aby padło na nich podejrzenie, że przyczynili się do upadku Imperium Brytyjskiego.

Ostatnio na temat parlamentu w Londynie kursuje powiedzenie, że rząd przypomina grę na skrzypcach.

Skrzypce trzyma się wprawdzie Lewą ręką, ale gra się PRAWĄ.

Najlepsze Życzenia
WESOŁYCH ŚWIĄT
składa swoim Czytelnikom
POBUDKA

KRÓLEWSKI CZARNY RYNEK.

Król Belgów ma dziwny sposób zdobywania sobie popularności. Wszyscy Belgowie, którzy wyjeżdżają do Szwajcarii mają prawo pobierać 200 franków szwajcarskich tygodniowo na początku każdego tygodnia pobytu, za co wpłacają przed wyjazdem odpowiednią ilość waluty belgijskiej.

Ponieważ frank szwajcarski jest notowany b. wysoko, każdy Belg pozostający w Szwajcarii 8 dni, otrzymuje drugie 200 franków, z którymi coprędzej wraca do kraju i tam pod giełdą sprzedaje je po dobrej cenie. Gdzie spędza czas w Szwajcarii, która jest krajem drogim? Nic prostszego. Król Belgów, który rezyduje w tym kraju ma prawo do swej listy cywilnej na własne wydatki. Za jedne 5 franków każdy „gość z Belgii" ma prawo wpisać się na taką listę i.... żyć" w gościnie u króla".

Wygodnie, tanio i przyjemnie!

Rezolucja Rady Bezpieczeństwa, o której pisałem w ubiegłym tygodniu — została ostatecznie przyjęta przez zgromadzenie generalne Narodów Zjednoczonych i przestawiciele tych państw, które do tej chwili utrzymywały stosunki dyplomatyczne z buńczucznym Caudillo, opuszczają pospiesznie słoneczną Hiszpanię.

Oczywista, że pan generał robi dobrą minę do złej gry i zaczyna nawet straszyć, bo w nocie wystosowanej do ONZ oświadczył, że „postanowienia tego (niby — uchwalonej rezolucji) większość narodów będzie wkrótce żałowała", ale przecież... od tego pajac jest pajacem, by bawił otoczenie, nieprawda....

My wiemy, że ta faszystowska kreatura, chciałaby jak najdłużej utrzymać się przy władzy, zdobytej mordem, krwią niemieckimi bombami — i tankami włoskich faszystów. Ale cóż?... Dwóch starszych braci, ten jeden z Berlina, a ten drugi z Rzymu — doczekali się swego końca, to i najmłodszy z rodzeństwa musi iść w ich ślady.

I chyba niedługo już powiemy: nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka...

* * *

Innym narodom — ONZ-owski św. Mikołaj przyniósł w podarunku taką maleńką gwiazdkę nadziei, że zagadnienie ogólnoświatowego rozbrojenia posunęło się jednak troszeczkę naprzód.

Uchwalona rezolucja mówi o powszechnej redukcji zbrojeń i o kontroli produkcji wszelkiej broni, z bombą atomową łącznie.

Uchwała ta, łącznie z wynikami zakończonych obrad Wielkiej Piątki, która to nareszcie znalazła jakiś wspólny język i wyniki rozmów, przeprowadzonych między kierownikami polityki zagranicznej pięciu mocarstw, można uważać za wybitnie pozytywne — pozwalają nam sądzić, że podczas tegorocznych świąt będziemy mogli śmielej śpiewać słowa kolendy:

„a pokój — na ziemi..."

A ludzkość tego pokoju na ziemi naprawdę jest upragniona. Oczywista oprócz tych paru setek czy tysięcy — którzy właśnie wtedy, gdy pokój jest zagrożony — pieką swe kasztany, a na wojnie — to już krocie zarabiają.

* * *

Jest jeszcze jeden zwyczaj, na szczęście nie przez wszystkich przestrzegany, a ci, którzy mu hołdują, czynią to nie tylko w okresie świąt, ale przy każdej nadającej się okazji.

Legenda, jak wiecie, kazała Jezusowi urodzić się w żłobku. I niektórzy, z pośród dziś żyjących, upodobali sobie ten żłobek tak mocno — że go w żłób obrócili.

I ciągną do tego żłobu, gdy tylko mają możność ku temu. Ciągną do żłobu i ciągną — z żłobu... A czasem — to nie z jednego nawet, a kilku naraz, żeby tylko więcej!... Jak najwięcej!... Żeby tylko się obłowić!... I to — grubo!...

I takim to wszystko jedno czy żło-

— do niedzieli

bem jest posada taka czy inna, czy sklep, czy handelek, czy podróż na Ziemie Zachodnie...

Tylko — że amatorów i wyznawców kultu żłoba jest coraz mniej. Kilkuset z pośród nich siedzi już w obozach pracy, a na pozostałych też kreska przyjdzie.

I przyznać trzeba, że to dla ich dobra tylko władze przerywają im ich „żłobienie". Tak samo jak dla dobra obszarników, bankierów i fabrykantów — odebrano im majątki, folwarki i fabryki.

Bo to przecież — „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż..." Nieprawda?...

I jeśli oni czasem narzekają, to dlatego, że nie wiedzą, iż ułatwiamy im dostanie się do nieba.

* * *

Tak, Towarzysze!... Święta!

Święta narodzin Miłości i Sprawiedliwości!...

I kiedy będziecie składać sobie życzenia, to i te moje do nich dołączcie: niech rośnie między nami Sprawiedliwość, Braterstwo, Miłość i Wolność...

A że nie dla wszystkich święta będą tak radosne, jakbyśmy chcieli?...

Widzicie, to są drugie święta w wolnej Ojczyźnie... Trzecie — będą lepsze!

A za kilka lat?:...

A za kilka lat będziemy tak mieli — jak zdołamy zapracować i wypracować!... Pamiętajcie!...

set.

Szósty śledź

Względem świąt, to już coś tydzień naprzód zmówilim się w piątkę. Wszystko z ogólnego baraku, ma się wiedzieć— bo tu u nas same pojedyńcze chłopaki i mało który na miasto miał gdzie iść.

Aby Olek, co ze mną na łóżku jednym kimał, do wujów na Mokotów wybrał się na całe cztery dni i mandolinę zabrał. Dla ferajny szkoda wielka, że to mróz, i już ze swymi muzykantami dawno nie chodził, więc groszem nie śmierdział.

A mnie, to jakby w sam raz wypadło na święta samemu się fest wywczasować bo we dwójkę ciasno było cholernie i deska w samo żebro mi właziła, osobliwie nad ranem.

Felek skombinował od znajomego furmana z monopolu czyściochy litr. Klawa była, choć ją przez płótno cedzić wypadało — niby jako ze stłuczek była i szkła kawałek mógł w niej pływający się znaleźć.

Franek z Anielką, chociaż jeden obiad z kuchni mieli, — że to nie ślubna była i magistrat nie chciał mu jej na kartkę przypisać — a przecież przyhamowali jednego dnia to, drugiego owo, aż się zagrychy niezła dola uzbierała.

Józek Dolanoszczak u swojego majstra na piekarni trzy chleby przykaraulił i grzybków słoik od majstrowej.

Znakiem tego tylko mnie się na śledzia szarpnąć wypadało i święta wychodziłyby jak się patrzy.

Nieważne to po prawdzie świętowanie. Ale jakie to tam u biedoty święta. Aby kłopot większy, że sklepy zamknięte: niczego nie kupisz, choćbyś nawet miał jaki grosz.

Tylko w baraku kuchnia miała być na cały czas czynna, to się bractwo rozbalowało, i takiem prawem na siłę rybkę chcieli sobie urządzić. Dawne czasy niby przypomnieć.

— W pojedyńczych — powiadają — niejeden, choć barakowy łatek jak i my, kolację urządza po formie. W naszym ogólniku Orzechowskie choinkę dla dzieciaków wystroili, to my się chociaż wódki napijemy pod „katolika", na tę losu odmianę.

Nazywa się trudno. Ferajny nie przegadasz a osobliwie franczynej Anielki, zwyczajnie kobieta zawsze swoją racie fizykę na stół położy.

W taki sposób skakałem cały dzień po mieście, żeby te półtora snopa na śledzie zarobić.

Złotówkę już miałem, kiedy mi jakiś frajer przed dworcem podleciał: sakwojażyk z taksówki wyniesłem i wesołego święta winszowałem, więc się rzucił i pół złocisza w łapę, wtrynił.

Myślę sobie, na Muranów ganiać trzeba, bo już bliżej sklepy pozamykane byli, a tam po szabasie żydy murowanie jeszcze targują. Na wypadek miałem jedną metę, gdzie i od podwórka nieraz dostawałem, choćby w największe święto.

Przyskakałem, a mrozisko trzymało okrutnie tom przy magistrackim koszyku z koksem przystanął ogrzać się ociupinkę.

Patrzę: paru tramwajarzy, co ze służby zeszli, ręce sobie podgrzewa, jakaś kobita przy koszyku, wcale pakownym. A obok stoi jeden, zaraz widać, że z bezrobotnych i bez mety także być musiał. Oczy czerwone, same mu się zamykały, w kolanach jakoś miękko stoi, haweloczek na nim wiatrem podszyty.

To sobie myślę tak: wódka — bajki, zagrychy starczy na pięć — starczy i na szóste osobę. Aby z „katolikiem" kłopot. — Wiadomo: po jednemu na twarz musi być przynajmniej, a u mnie forsy tylko na pięć, bo pytałem wczoraj w sklepiku — po trzydzieści groszy byli. Ale że to sklepik znajomy, utargować czy zborgować może się uda, powiadam do chłopaka:

— Panie ten, niechno pan tu jeszcze chwilę postoi. Aby skoczę w jedno miejsce, może będzie potem i o czym pogadać:

Rozpuściłem skoki przez plac, śnieg nie śnieg, i tak sobie kombinuje, jak ten interes urządzić. Tylko, że zanim jeszcze do sklepiku doszłem, umyśliłem, że

Zagadało się trochę o świętach. Zwyczajnie — człowiek do człowieka zagadać musi, a o czym tu innym kiedy każdy aby o tym myśli, żeby już prędzej świąteczną wyżerkę na ząb położyć.

A ten ów bezrobotniak oczy spuścił: zerknąłem na niego: widzę, jakoś mu wargi latają. Udaję, że to z mrozu, ale nie mnie taką rzecz powiedzieć... Zanim się człek do baraku wtarabanił, przelaziło się nie jeden tydzień, wiem, co jest bez mety po mrozie wędrować. I do tego w święta.

jakby co, ferajnie powiem, że mi śledź na nerki niezdrowy i takim prawem swojego głodniakowi odstąpię.

Włażę do sklepu, pusto już było, stara Abramkowa forsę sobie liczy.

— Śledzie — powiadam — po czemu.

A zawsze mi w sercu nijako, że to formie po jednemu się przecież na twarz należy, jeszcze i w święta...

— Trzydzieści groszy.

— Po dwadzieścia pięć nie będzie?

(Dokończenie na str. 5)

Gwiazdka przed 10 laty

(przedruk z świątecznego numeru „Tygodnia Robotnika" z r. 1936)

Swiecą gwiazdy, świecą
na wysokim niebie...
Jeno nie myśl chłopie,
że to i dla Ciebie!...
Ta jasna z tysiąca,
co wschodzi od boru,
jako skrawek słońca —
to pana ze dworu...
A niżej ta druga
ze złota szczerego,
co nad stawem mruga
proboszcza naszego...
A trzecia, co w pobok
rzuca snop ognisty,
jako srebrna kądziel —
— gwiazda organisty...

Maria Konopnicka

PODARKI GWIAZDKOWE

Każy szybko spieszy do dom
do rodzinki i choinki,
bo Mikołaj z dużą brodą
już roznosi upominki.
Ma Hiszpania krwawe święta,
bohatersko walczy Madryt.
A faszyści ślą prezenty:
bomby, czołgi i eskardy.
Edward miłą swą rozwódkę
obdarować chciał koroną...
Dziś na smutną śpiewa nutkę
bo z posady go zwolniono...*)
U nas dostał jeden z drugim
Jeszcze przed świętami prezent:
order, wawrzyn, krzyż zasługi,
a niektórzy ... Berezę.
Święta u nas są wesołe.
Nastrój miły, swoiski, szczery,
Za obfitym siedzą stołem,
oczywiście... „lepsze" sfery.
Dla biedaków zaś ustawią
magistracką wnet choinkę.
Niech obejrzą, niech się bawią,
no i niech łykają ślinkę...

Tse-tse

*) Edward 8, król angielski.

Szósty śledź

Dokończenie

Jeden może być mniejszy — powiadam.

Bo nikt przecież całówką mierzyć nie będzie, byle na ilość było jak się patrzy.

— Nu, niech będzie, aby handel szedł — powiada Żydówka i ciągnie z beczki szmalcówki sztuka w sztukę.

Ażem lżej odetchnął. Nie będziesz biedaku w te świąteczną noc skakał po mieście i przy magistrackich kaloryferach się podgrzewać na głodnego. I śledzi jest jak się patrzy — ferajna margać nie będzie.

Nie bardzo chudzina rozumiał co mu tam w głowę kładłem, że niby za kuzyna mojego ma być, ale poszedł.

W baraku gotowe już wszystko było. Na rybę tylko czekali. Chłopaki nic nie mówiły, jakiem im swojego znajdka za kuzyna, przypadkiem w sklepie spotkanego przedstawił. Tylko franczyna Anielka coś się skrzywiła, że krajać, a dzielić znowu trzeba inaczej! Zwyczajnie kobieta, zawsze swoje fizykę zaiwani.

A po wódce powiadam do niego.

— Pół łóżka mam wolne, będziesz u mnie we święta kimał. O żarciu jakoś się pomyśli.

I wcale mi nie było żal, że się nie wywczasuję, jak się należy, że to, we dwójkę leżąc, deska w żebro właziła, osobliwie nad ranem.

Jakże bo w święta człowieka od stołu na ulicę wypuścić?

Jeszcze kiedy się kombinacja udała i śledzi, po formie, jeden na twarz wypadało.

Chociaż gorsze niż te, co zwykle na bazarze, u krzywej Sury brałem.

Jan Dąbrowski
(„Na Zachód od Zanzibaru")

CHOINKA DZIECI ULICY

Święto Bożego Narodzenia to przede wszystkim święto dzieci. Czy pamiętamy wspomnienie naszych dziecięcych czasów, oczekiwania w wieczór wigilijny na tajemnicze prezenty, wzruszenia największe na widok biało nakrytego stołu i uroczystych min rodziców?

Pamiętamy napewno, przynajmniej ci wszyscy, którzyśmy w dzieciństwie wzruszenia te przeżywali. Nie wszystkim jednak to było dane. Są wśród nas tacy, którzy nie mieli nigdy ani własnej choinki, ani św. Mikołaja, ani biało nakrytego stołu wigilijnego. Tym właśnie dzieciom poświęcam dzisiejszy reportaż.

Tego dnia spadł pierwszy śnieg. Pierwszy większy śnieg nie licząc poprzednich wątłych i wilgotnych płatków, rozpływających się w błocie wielkomiejskiej ulicy. Ten śnieg był prawdziwy, obfity i puszysty, gęsto zaścielający miasto białym kobiercem. Na ulicach panował ruch gorączkowy, błyszczące limuzyny zatrzymywały się co chwilę przed wystawami najelegantszych sklepów, wykwintne damy, otulone w futra przechodziły szybko ulicą obładowane kolorowymi paczuszkami, zniecierpliwione, poddenerwowane niespokojnym ruchem przedświątecznym.

Tylko we wnękach bram spokojnie stali mali sprzedawcy papierosów, zapałek świątecznych pocztówek czy prostych dziecinnych zabawek choinkowych. Cała energia ich i spryt handlowy przygasł jak gdyby, przyczaił się zmęczony w kołowrocie cudzych radości i cudzych uroczystych spraw.

Choinka... własna, ubrana własnymi zabawkami, stojąca w własnej, ciepłej i czystej izbie, obok czystego, suto zastawionego stołu.

Antek idźno do doktora na piętro! kazał ci przyjść pomóc przy wnoszeniu choiny, czy czegoś tam — i Antek idzie, nie, nie idzie, biegnie przeskakując po trzy stopnie na raz. Przecież dla niego to prawdziwe święto, zobaczy prawdziwą choinkę, może nawet pozwolą mu ją ubrać, dotknąć tych wszystkich wspaniałych zabawek. Ale radość kończy się szybko dziesięciozłotowym napiwkiem, kładącym kres proletariackim marzeniom. Antek schodzi powoli z pierwszego piętra pogwizdując nonszalancko przez zęby.

— Cóż to za łobuziak — mówi potem inżynierowa do swej sąsiadki aptekarzowej — minę ma taką, jakby wszystkich ludzi miał w pięcie. — I nie myli się wiele. Mały Antek gwiżdże nonszalancko po swym, którymś tam z kolei gorzkim życiowym zawodzie.

— Pies was drapał — myśli — obejdę się bez waszej choinki. —

Nie mija parę minut jak w gromadce takich samych jak i on głodnych i zziębniętych chłopców maszeruje żwawo w stronę miejskiego placu, na którym tysiącami świateł jarzy się ogromna, wspaniała choinka. Wprawdzie nie ma na niej zabawek ani słodyczy, ale to nie zakłóca radości małych uliczników. Mogą przecież podejść blisko, bliziutko, dotknąć zgrabiałymi od zimna palcami soczystej, chłodnej iglastej zieleni, mogą w dziecięcej imaginacji, jednakowej u biednych czy bogatych, zawieszać na smukłych gałązkach swe najbardziej wymarzone zabawki i słodycze. Tak samo jak potem przytuleni do szyby cudzego okna mogą chłonąć oczami przysmaki cudzej wigilijnej wieczerzy.

Takich Antków jest wiele we wszystkich miastach. Miasta jednak w miarę możności pamiętają o nich w dzień wigilijnego święta. W świetlicach robotniczych, w przedszkolach i żłobkach, w instytucjach społecznych, urządzane są wieczerze dla najbiedniejszych dzieci, dla dzieci samotnych czy opuszczonych, dla tych, którym dom rodzinny nie da wigilii

Tego roku również zapłoną dla nich wigilijne drzewka. A nawet tak jak i w ubiegłym prócz zabaw przy choince i poczęstunku, dzieci zostaną obdarowane paczkami ze słodyczami i pszennym pieczywem. Nie będzie to wprawdzie to samo co podarunki otrzymane w domu pod choinką, ale dla niejednego dziecka i to stanowić będzie wielką radość. A przecież o tę właśnie radość dziecięcą nam chodzi, o tę radość, której zapas pozwoli może kiedyś w przyszłości przetrwać ciężkie chwile przeciwności, której wspomnienie towarzyszyć im będzie w złych czy tragicznych chwilach.

Może właśnie dzięki takiej, wysiłkiem społecznym stworzonej choinki jakiś przyszły, dorosły już Antek, nie będzie chodził z cynicznym uśmiechem na ustach, wykrzywionych grymasem złym i pełnym żalu do ludzi. I kto wie może to właśnie darowane przez nas wigilijne drzewko powstrzyma niejedno z tych dzieci od złego czynu, jaki rodzić może tylko ludzka nienawiść czy krzywda.

Pamiętajmy o tym w chwili, gdy zasiądziemy w gronie rodziny, w czystej i ciepłej izbie przy wigilijnym stole. I spojrzmy uważnie w okno, czy czasem zza zaśnieżonej szyby nie patrzą na nas czyjeś dziecięce, spragnione ciepła i radości świątecznej oczy.

Pierniki, które powinny wisieć na choince.

Boże Narodzenie dziś i dawniej

Święta Bożego Narodzenia — to najmilsze, najradośniejsze i najpiękniejsze ze Świąt. Święto Pokoju, Rodziny i Dziecka. Niedługo zabłyśnie gwiazdka betlejemska. Ucichnie gwar i ruch uliczny zniknie. Zamkną się wszystkie publiczne lokale. Mężowie, ci dezerterzy przedświątecznych przygotowań, dojedzą swej rybki, czy śledzika i pośpiesznym krokiem, z ostatnimi zakupami świątecznych podarków wrócą do domu. Panie domu kończą ostatnią krzątaninę. Stół już gotowy. Na nim biały obrus, pod nim siano. Pachnie stajenką betlejemską. Zastawa liczniejsza niż w inne święta. Po środku ciasta ubrane w gałązki świerkowe. Od kuchni przedostaje się smakowity zapach smażonych ryb. Pod oknem odświętnie wystrojona choinka skrzy się, błyska i barwi. Dziesiątki kolorowych świeczek siedzą na gałązkach jak szyszki i czekają na swoją kolej. Na płomyk.

Uroczystość Bożego drzewka rozpocznie się po wieczerzy. U stóp choinki rozmaicą się podarki dla dziatwy.

Pan czy pani domu podzieli opłatek i nastąpią życzenia. Podczas łamania opłatka nastrój będzie serdeczny, spokojny i... radosny? Oby taki panował wszędzie! Jednak w wielu, wielu domach przy życzeniach popłyną łzy. Bolesne westchnienie uleci z piersi i strunie do Boga z gorzyczną skargą... Jedno więcej nakrycie na stole, to, które pozostanie dziś pustym, przypominać będzie, że ktoś zginął na wojnie, że ktoś poległ w powstaniu, że ktoś został zamordowany w obozie, że ktoś zmarł w więzieniu, że ktoś nie wrócił z emigracji.

Łzy nie pomogą. Życie płynie. Święto Pokoju nastało. Zgrzyt dzisiejszego wieczora trzeba stłumić. W mieszkaniu tak cicho, tak przytulnie, tak dziwnie dobrze!..

Święto radości i szczęścia. Wigilia! Za chwilę, oczarowane oczy dziecięce rozbłysną podziwem i uciechą. W światłach Bożego Drzewka rozanielą się buzie, rozzłocą włosy, gdy wyczarowana choinka, jak Święta, ukaże się w aureoli swej własnej jasności pośród mroku zgaszonego mieszkania. Zielono - srebrzyste drzewko skrzy się, bieli i barwi złotem, opalem, purpurą, czerwienią, brązem i błękitem Anioła, który wzniósł się na szczyt i rozwinął swe skrzydła. Aniele-Stróżu mój!...

I popłyną słowa rzewnych, melodyjnych kolęd: Bóg się rodzi, moc truchleje..."

O, wichrzyciele Pokoju ludzkiego — memento!!!

„Lulajże Jezuniu..."

O, Matko, jakżeś szczęśliwa! Cicho!... Lulaj-że, lulaj...

„Gdy się Chrystus rodzi..."

Nocy! Zwycięstwo Dnia obwieszczamy! Cieniu — już wschodzi Słońce!

A potem święte Misterium Wielkiego Stygmatyka z Asyżu — pasterka! A potem w noc cichą, wigilijną — senne marzenia dziecięcych główek o cudach widzianych na choince i otrzymanych spod choinki. Za oknami, rozlańczonymi płatkami iskrzy się śnieg w poświacie księżyca. Za oknami może wicher się miota i trzeszczy mróz. I może gdzieś w tę noc... jakiś tułacz, sierota czy żebrak — z goryczą w sercu i łzami w oczach szukają schronienia... Oby dzisiejsza, święta, wielka Cisza nie została rozdarta krzykiem cierpienia Niepotrzebnego Człowieka!

Obrzędy wigilijne są pochodzenia pogańskiego. Chrześcijanizm nadał im charakter obecny. Sposób obchodzenia wigili nie wszędzie jest jednakowy. W niektórych krajach zamiast wieczerzy je się sute, nie postne śniadanie. Początkowo obchodzili chrześcijanie Święto Bożego Narodzenia razem ze Świętem Trzech Króli a więc 6-go Stycznia. W IV wieku przenieśli je na dzień 25-ty grudnia.

Czy zwyczaje bożenarodzeniowe uległy z biegiem czasu zmianie? Może tak. Przypomnijmy sobie zresztą jak to ongiś bywało. Przede wszystkim świętowano cztery dni. Dwa poświęcone były dla domu a następne dwa na odwiedzanie się wzajemne. Święta te spędzano huczniej, suciej, z bujniejszym kolorytem. Gwarne, rozochocone i wystrojone kuligi wiozły rozbawionych pasażerów do odległego, za lasem, kościoła na pasterkę. W kościele księża-diakoni wystawiali teatrum z hołdem Trzech Króli, pastuszków, osła i wołu, Herodem i diabłem. To późniejsze Jasełka. W domu, na wieczerzę wigilijną musiało być 13-cie rozmaitych potraw: ryba, kluski z makiem, strucla z najprzedniejszej mąki, polewka z migdałów, barszcz postny, kapusta z grzybami, ryż, tarty mak, śliwki suszone, maślanka, piernik toruński. Wśród podań rybnych największym popytem cieszyły się: szczupak z szafranem lub karp z rodzynkami. Nie zapomniano naturalnie o trunkach, jak wódka gdańska i wina.

Choinka nie koniecznie musi być świerkowa. W niektórych krajach jest drzewkiem liściastym. Podarki choinkowe składały się z takich na przykład zabawek: husarze, kirasjerzy, piechota, armatki, karuzele, karety, bryczki i wozy, domki, teatry z dekoracjami, konie na biegunach, książki a dla dziewcząt kuchenki z wszelkimi przyborami, lalki i łóżeczka. W mieszkaniu, w czterech rogach stały snopy wszystkich gatunków zboża. Nad wigilijnym stołem wisiał żłobek z opłatka i gałązka wiecznie zielonej jemioły. Jeśli panna stanęła przypadkowo pod jemiołą, wolno było pocałować tę pannę. Dziewczęta poza tym zabawiały się we wróżby związane z ich najbliższym losem panieńskim. Jeśli wyciągnęła która spod obrusa źdźbło siana zielonego, miała nadzieję w przyszłe zapusty wyjść za mąż. Jeżeli źdźbło było zwiędłe — miała dość długo czekać na swe małżeństwo. Natomiast żółte źdźbło wróżyło staropanieństwo. Tak to patriarchalnie zabawiano się w dzień wigilijny.

Taka wspaniała bujność obrzędów była zresztą i w rzymskich Saturnaliach, słowiańskich Kolędach i germańskich Julach. Wtedy jednak było to Święto przesilenia dnia z nocą. Czczono więc również symbolicznie zwycięstwo Światłości nad Ciemnością.

W naszych już czasach — przed półtora, powiedzmy, wiekiem tradycja nieco uległa zmiania. Zaczęło tworzyć przysłowia ludowe. Dwanaście, bowiem dni zawartych między 25 grudnia a 6-ym stycznia to dni wróżące pogodę w poszczególnych miesiącach roku. I tak: „Gdy na Nowy Rok jasno — w gumnach będzie ciasno". „Nowy Rok pogodny — zbiór będzie dorodny". „Gdy Nowy Rok mglisty — zboże zjedzą glisty". Było ongiś odświętnie, rojnie i dostojnie. Weselej. Wszyscy w narodowych strojach, czapy z białym barankiem, buty z cholewami palone.

Ludzi było mniej. Wojny nie tak okrutne. Mniej ofiar ludzkich ginęło. Mniej żałoby. Dziś będzie podczas świąt skromniej, ciszej.

Drugie to dopiero Święto po wojnie. Rany nie zabliźniły się jeszcze. Groby nie zarosły. Tysiące błąka się zagranicą. Ale ...nadeszły zmiany, które powinny pocieszyć. Idzie zwycięstwo demokracji a więc: Pokoju—Równości—Braterstwa — Wolności i Miłości. Niechże tylko wszyscy ludzie w dzień wigilijny postanowią Nowy Rok rozpocząć od pracy wspólnymi i zgodnymi siłami — przy odbudowie kraju. Niech Wielkie Święto Zbratania, Święto, które podzieliło dzieje ludzkości na dwie ery, stanie się znowu czynnikiem postępu. Hasłem tego Święta jest równość klas społecznych, miłość do człowieka. To hasło było kiedyś tak rewolucyjne, że Chrystusa skazano na śmierć. Podważało ono wszak porządek świata! Przetrwało jednak to hasło i z coraz większą potęgą rozszerza się, wzmacniając w ludzkości tęsknotę do powszechnej równości i braterstwa.

Pokój ludziom dobrej woli...

Juliusz Śliżowski

Pastorałki i kolędy

Boże Narodzenie w polskiej pieśni ludowej

Boże Narodzenie — to bodaj, że jedyny okres w roku, kiedy jeszcze cała Polska śpiewa! Zamilkło już na zawsze wiele pieśni religijnych i obrzędowych, milkną po kolei piękne pieśni ludowe, wypierane przez nowoczesną tandetę, — ciągle jednak trzymają się w kościele i w domu kolędy i pastorałki, wciąż ukazują się nowe ich wydania, nie brak również i oryginalnych prób kompozytorskich w tym rodzaju, choć rzadko utrafiają one w uczucie i charakter dawnych natchnień ludowych.

Boże Narodzenie w Polsce — to nie tylko święto religijne, — to również odwieczne, tradycyjne święto polskiej rodziny. W wieczór wigilijny zbiera się ona i jednoczy węzłem nigdy nie wygasających wspomnień i nigdy niewygasających nadziei. Bo kiedy pierwsza gwiazda na niebie zabłyśnie, zasiadamy do wigilijnej wieczerzy, łamiąc się przedtem tradycyjnym opłatkiem i życząc sobie wzajemnie spełnienia tego, co komu najmilsze i czego kto najgoręcej pragnie. A potem przy zapalonej choince śpiewamy kolędy.

I znów powiedzieć trzeba, że takich pięknych pieśni bożenarodzeniowych i takiej ich obfitości, jak my, nie posiada żaden inny naród na świecie! Każda dzielnica, niemal okolica posiada swoje własne, lecz niektóre najpiękniejsze, spopularyzowały się w całym kraju i stały się własnością całego ogółu.

Pieśni te podzielić można na dwie grupy: na kolędy i pastorałki. Kolędy różnią się tym od pastorałek, że charakter ich jest poważniejszy, bardziej uroczysty, religijny. Treść ich obraca się dokoła misterium Bożego Narodzenia; podczas kiedy pastorałki są raczej pieśniami świeckimi, na tematy związane z anegdotyczną stroną wielkiego wydarzenia. Pastorałki oddają nam wrażenia, jakie przeżywał świat maluczkich pod wpływem „dobrej nowiny", opowiadają, jak kolędowali pasterze, jakich w trakcie tego doznali przygód, jak się objawił prostakom cud betlejemskiej stajenki. Kolędy są pieśniami o wyższym nastroju, autorami ich byli niewątpliwie ludzie oświeceńsi, zakonnicy, księża, a nieraz i niepospolici poeci. Pastorałki natomiast posiadają wszelkie znamiona „twórczości" gminnej, ludowej. Są naiwne, proste, nierzadko — nawet rubaszne. Ale te właśnie prymitywy są najbardziej polskie z ducha i świadczą o swoistym odczuwaniu religijnego misterium. Przybliżają one sam cud przyjścia na świat Syna Bożego i towarzyszące cudowi temu okoliczności i zdarzenia do prostych pojęć wiejskiego ludu. W świetle tych pojęć zdaje się nie ulegać wątpliwości, że to cudowne Betlejem było gdzieś w Polsce — i to niedaleko, może już za ciemnym pasmem boru, od którego oddziela nas tylko rozległa przestrzeń pól zasypanych śniegiem, może za paroma takimi polami i lasami, — w każdym razie gdzieś, dokąd w ciągu tej jednej cudownej nocy dało się zawędrować naszym Kubom, Maćkom i Kazimierzom. Pastorałki opowiadają nam o przerażeniu pasterzy na widok tak niezwykle jaśniejącej gwiazdy, a następnie o radości, kiedy pojęli, o co chodzi, a potem — jakie zanieśli dary i „jak Panu Bogu cześć oddali". Dary to były polskie, wieśniacze, od barana począwszy, na osełce masła i wianuszku suszonych grzybów skończywszy. A jak pięknie przy tym grano i śpiewano! Fujary, rogi, multanki (kobza, dudy) — oto instrumenty muzyczne w pastorałkach wymieniane.

Z pojęciami tymi zgodny jest i świat zwierząt, obecnych przy Objawieniu. Obok baranów, jagniątek, psów pasterskich, występuje tam dobry, swojski wół i egzotyczniejszy nieco, ale przecież w Polsce nie obcy — osioł!

Do najbardziej znanych pastorałek należą: „Dnia jednego" i „Hej, w dzień Narodzenia", które są najbardziej charakterystycznymi pieśniami tego rodzaju.

Do najpiękniejszych i najbardziej tradycyjnych kolęd należą: „Anioł pasterzom mówił", „W żłobie leży", „Wśród nocnej ciszy", „Dzisiaj w Betlejem", „Mędrcy świata, Monarchowie", „Gdy się Chrystus rodzi", „Lulajże, Jezuniu" i „Bóg się rodzi". Ta ostatnia, osnuta na mistycznym dogmacie „Słowa", które „Ciałem się stało", kunsztownie operuje pojęciami przeciwstawnymi, dla wyrażenia podziwu dla głębi i niedocieczności tajemnicy Wcielenia. A kończy się ta przepiękna strofa, której nie można śpiewać ani słuchać bez wzruszenia, cudnym akcentem patriotycznym:

„Podnieś rękę, Boże Dziecię!
Błogosław Ojczyznę miłą,
. . . .
I wszystkie wioski z miastami!..."

Jest to już kolęda nowsza, a autorem jej jest Franciszek Karpiński. Kto jest kompozytorem melodii, również niezwykle pięknej, nie wiadomo.

Pastorałki są wyrazem tych dążeń ruchu franciszkańskiego, które zmierzały do uzmysłowienia ludowi pojęć religijnych. Święty Biedaczyna z Asyżu, odnowiciel ducha chrześcijańskiego, skostniałego w dogmatyce średniowiecza i spekulacjach teologicznych, zalecał unaocznianie ludowi najprzystępniejszymi środkami cudu Bożego Narodzenia. Żłobek z Dzieciątkiem, czyli jasełka, wyszły z klasztorów franciszkańskich, a z tych żłobków rozwinęły się z czasem przedstawienia teatralne i kukiełkowe (szopka!) z śpiewem i dialogiem. Z ducha franciszkańskiego powstało też to serdeczne spoufalenie się z Bóstwem, nie pozbawione silnych akcentów społecznych. Jezus, urodzony w stajni, gdzie „żłób mu za kolebkę dano", gdzie wół i osioł ciepłym oddechem ogrzewać musiały jego zmarznięte ciałko — oto pojęcie Boga, zrozumiałe dla biedaków i prostoty. Sprowadzeni do Polski w r. 1231 franciszkanie, posługiwali się w swej pracy misyjnej tą swoistą „metodą poglądową" w nauczaniu religii. Należą też pastorałki do najstarszych polskich pieśni bożenarodzeniowych. O dawności niektórych ich melodii świadczy ich struktura muzyczna, oparta na starej gamie, tzw. bezpółtonowej.

Do najdawniejszych, dziś jeszcze śpiewanych kolęd, należy kolęda o charakterze pieśni nabożnej — „Anioł pasterzom mówił", zanotowana już w XVI wieku. Z końca XVI i początku XVII wieku pochodzą również ogólnie znane kolędy: „A wczora z wieczora", „Przybieżeli do Betlejem pasterze" i „Przy onej górze".

Co się tyczy formy muzycznej zarówno pastorałek jak i kolęd, to są one w przeważającej części piosenkami tanecznymi. Są to krakowiaki, mazurki, obertasy i polonezy. Niektóre — bardzo wesołe i skoczne, że aż podrywają nogi, inne — powolniejsze, niemniej o typowo tanecznej budowie rytmicznej i melodyjnej. Kolędy typu „Lulajże Jezuniu", lub „O siano, siano, wonne jak lilija" — są kołysankami.

Nie brak wśród kolęd i pierwiastków obcych, przejawiających się w zachodnio-europejskich formach tanecznych: sarabandy, folii, menueta, czy bolera. Zostały one jednak w swoisty polski sposób przeinaczone i do smaku polskiego ucha dostosowane.

Mnóstwo kolęd i pastorałek zanotował w swoim zbiorze pieśni ludowych Oskar Kolberg. Do wartościowych publikacji należy „Zbiór pastorałek i kolęd z 120 melodiami", zebrany przez Ks. M. Mioduszewskiego. Posiadamy również sporo opracowań, służących dla praktycznego użytku. Do najpopularniejszych należą: Krogulskiego, Lachmana, Zbierzchowskiego i innych. Niestety, zbiorki te, bardzo szczupłe, obracają się w ciasnym zakresie kolęd najpopularniejszych i powszechnie znanych. Ich układ muzyczny pozostawia również dużo do życzenia. Ogół nasz powinienby się zaznajomić bli-

(dokończenie na str. 9)

Pierwsze święta za drutami III Rzeszy

Jest godzina 10. Z czeluści gmachu na placu Aleksandra wysypują się ludzie... Idą w takcie nadawanym rytmicznie kolbami policyjnej asysty. Na dziedzińcu oczekują „suki"-auto, służące do przewozu więźniów... Najautentyczniejsza benzyna bulgoce w silnikach. Przez zakratowane okienka patrzy Mikołaj na wielkie, szerokie, lśniące asfaltem i wystawami ulice. Dokąd? — Gdzieś pod Berlin. Do Sachsenhausen...

Wszystko niepewne swego losu. Ale — jedna nadzieja: Gorszego już nic przyjść nie może. Czyż mogą być noce gorsze od przeżytych?

Krajobraz zmienia się. Osiedla, łąki, lasy. Tam wszędzie żyją ludzie. Metry dzielą od tamtego świata... Świata przed kratami... Świata wolnych...

Próżno szuka zmęczone oko śladów zniszczenia. Żadnego podobieństwa do ruin ojczystych. Tu wojna nie dotarła...

Naród panów wylega na ulice. Naród panów wita podniesieniem ręki konwojującą straceńców policję...

ORANIENBURG

Jeszcze kilka sekund. Sady zmieniają się w żwirowatą boczną drogę. Nad nią wyrasta mur z kamiennych bloków, wysoki, złowieszczy, nieprzenikniony, otoczony siecią splątanych drutów. Zielone trawniki przed murem. Gdzieniegdzie tablice z trupią główką: „Achtung! Hochspannung! Achtung! Geladen!"

Między drutami zaklęte w nieruchomość posterunki. „Waffen SS"... Wreszcie brama... Schutzhaftlager Sachsenhausen... Z daleka dochodzi smętna melodia „heilige Nacht", a na dziedzińcu widać... „Boże drzewko"...

Zgrzyt motorów. Drzwi aut się otwierają. Zgiełk, skowyt, wycie, jęk. To pierwsze ofiary padają pod uderzeniami kolb i bykowców...

SS wylęgła śmiejąca się, butna, rozwydrzona. Rumiane gęby, zawadiackie czapki, czarne wyłogi. Między jednym a drugim uderzeniem pięścią w brzuch młody SS-man zakończył świst melodyjnej „O Tannenbaum"... Trzy trupy walają się przy maszynach. Trzech więźniów nie przekroczy już bramy... „Heilige Nacht" minęła. Dzisiaj już drugie święto. Boże Narodzenie 1940 roku...

Jeden przez drugiego pędzi, nie zastanawia się, byle minąć szpaler gestapowców. Niby stado baranów, stłoczone, zgniecione — pędzą ludzie na obozowy dziedziniec. SS wykańcza maruderów.

Wśród zaśnieżonych kwietników sznury zielonkawych baraków. Na nich szyldy: — „Jest tylko jedna droga do wolności...". Naprzeciw szyldów — drzewko choinkowe...

PRZY DŹWIĘKACH ORKIESTRY

Nowi więźniowie strachem wyprostowani są pierwszy widzami dziwnej defilady. Przez otwartą bramę nadciągają kolumny pasiastych postaci. Piątkami. Orkiestra gra marsza...

Kilku spasionych byczków poprzedza kolumny, towarzyszy im po bokach, dzierżąc mocno w rękach swoich szczęty drągów od łopat i szpadli, które raz po raz młócą w szeregu... To ktoś ze współwięźniów wychylił się ze swej piątki... Za każdą setką taczki. W taczkach — wzdłuż i w poprzek leżące ludzkie, niemrawe łachmany, trupy i półtrupy. Im już wszystko jedno...

Orkiestra gra marsza. Starsi więźniowie Niemcy wyglądają przez okna baraków. Oni dziś nie pracują. Przecież „Weinachten"... Boże Narodzenie 1940 r.

W ostrym żwirze dziedzińca walają się konający i umarli ludzie. Ludzie-numery. Ludzie w pasiakach... „Rapportführer" przechodzi wśród nich, dokonując lekarsko-niemieckich oględzin: Tu kopnie, tam krtań zdławi butem okutym, tu wyrznie obcasem w rozchyloną szczękę, oślizgłą od śmiertelnej śliny...

ZA PÓŁ MISKI BRUKWI...

Kilku spasionych byczków z kijami w ręku uwija się po placu, pręży przed SS, żartuje, śmieje się, nadzwyczaj celnie rozdziela ciosy z zadowoleniem i skutkiem wymierzane...

To „capo". Mają żółte opaski na rękawach, przeważnie zielone „winkle". Godni współpracownicy swoich ziomków spod znaku trupiej główki — kaci za cenę niedopałka SS-manskiego papierosa, kaci za pół miski brukwi.

BOGDALA

Do grupy więźniów podchodzi wysportowany, wysoki, czarny, silny zbir. Staje przed jednym z nowoprzybyłych. — „Warum lachst du, Schwein?" — Cios pięścią w żołądek, łokciem tejże samej ręki w szczękę. Cios potężny, walący z nóg... To Bogdala, postrach obozu.

Bogdala wsiada na rower i pędzi przed sobą posłuszne sile stado — na czworakach w coraz szybszym tempie przez szklany żwir dziedzińca aż do łaźni. Maruderów najeżdża rowerem, kaleczy gumowym biczyskiem...

W łaźni pan Bogdala jest w swoim żywiole. Żydom osobiście wbija drzazgi za paznokcie, Polaków parzy po całym ciele zapałkami i rozżarzonymi węgielkami. Skwierczy skóra palona żarem papierosów i cygar... — Klękać! Klękać! Całować ziemię niemiecką! Heute Weihnachten!...

Zastępca komendanta obozu mówi: „Schreibt euren Huren nach Hause — ihr kommt nie wieder"...

Na placu pozdrawia niezmiennie zielone drzewko choinkowe. Boże Narodzenie...

ŚWIĘTO

Na stołach chleb. Gorąca kawa. Świąteczne 20 g margaryny. Roziskrzyły się oczy zgłodniałych...

— „Wszyscy do sypialni! Z rozkazu komendanta — żarcia nie ma dla was!"...

Ktoś wynosi chleb na blok „capow". Ktoś wylewa gorącą kawę. Zmierzch zapada za oknami baraków. Na placu skrzy się choinka. U „lagrowego" kapela gra kolędy.. Tak — to przecież drugie święto! Boże Narodzenie 1940 roku...

Patrzą na siebie wszyscy, kuląc się z zimna na drewnianych pryczach. Czasami ktoś szepnie jakieś słowo. Myśli biegną ku domowi, ku chwilom przeszłym i wyczarowywują obraz przyszłych dni, kiedy to wszystko minie. Usta spalone gorączką ślą pozdrowienia tym w kraju i w polu, a nad zaciemnionym obozem, który tyle miał w sobie kryć jeszcze niespodzianek — rozpływa się w leśnej przestrzeni niemieckie „O Tannenbaum"...

Sergiusz Jaśkiewicz

Pastorałki i kolędy

(dokończenie)

żej z artystycznie opracowanymi kolędami St. Niewiadomskiego i F. Nowowiejskiego, opartymi na oryginalnych, mniej znanych motywach ludowych, względnie — inwencji własnej.

Urok i poezja Bożego Narodzenia znalazły swe odbicie również i w sztuce polskiej. I tak, w Scherzu h-moll Chopina spotykamy się z motywem kolędy „Lulajże Jezuniu", użytym w sposób nadzwyczaj artystyczny i nastrojowy, choć zasadniczo, w swoich oryginalnych kompozycjach, Chopin nigdy nie posługiwał się folklorem. W bardzo ładnej kompozycji fortepianowej Franciszka Brzezińskiego zatytułowanej „Tryptyk", część druga, nazwana „Boże Narodzenie w Polsce" (preludium i fuga) osnuta jest na motywach kolęd „W żłobie leży" i „Hej, w dzień narodzenia". Z utworów o charakterze literackim przypomnieć warto „Betlejem Polskie" Lucjana Rydla, będące zręcznym powiązaniem motywów pastorałkowo-kolędowych, zaprawionych nutą patriotyczną. Na motywach warszawskiej szopki ludowej oparł swą „Szopkę polską" poeta Or-Ot. Wpływ szopki ludowej zaważył też na formalnej budowie „Wesela" Wyspiańskiego.

St. Woyna-Gwiaździński

KAMIENIE NA SZANIEC

Karetka więzienna ma przejeżdżać Bielańską około 5 godziny po południu. Jest tylko trzy godziny czasu. Nie wolno zmarnować żadnej minuty. Pospiesznie wydawane są umówionym sposobem rozkazy. W kilku punktach miasta przeprowadzane są ostatnie odprawy, powtarzane są precyzyjne instrukcje.

I to wszystko gotowe. W rejonie skrzyżowania Bielańskiej i Długiej wśród przechodniów i przygodnych gapiów ulicznych niewprawne oko nie dostrzegłoby trzech oddziałków Polskich Sił Zbrojnych Dwa oddziałki z granatami i pistoletami, jeden z butelkami napełnionymi benzyną. W pobliskich ruinach parę pistoletów maszynowych. Na centralnym miejscu dowodzący całością młody człowiek trzyma w kieszeni płaszcza dłoń na kolbie nabitego pistoletu. Chociaż odbicie przeprowadza oddział Zośki, zapada decyzja, iż dowodzić całością będzie kto inny, mniej niż Zośka ogarnięty wirem wydarzeń i uczuć. Zbliża się godzina 17. Dowódca, Komendant Warszawskiej Chorągwi Szarych Szeregów — Orsza, — występujący po raz pierwszy w podobnej sytuacji, denerwuje się nie z powodu zbliżającej się walki, denerwuje się dlatego, że widzi w dalekiej perspektywie ulicy, jak wyznaczony do sygnalizowania o zbliżającej się karetce policyjnej chłopiec odwrócił się tyłem do miejsca, które ma obserwować i tak stoi. Naraz ów tyłem obrócony sygnalista szybko zakręcił się w miejscu i zaczyna, nie zważając na otoczenie, machać kapeluszem zerwanym z głowy. Orsza przykłada gwizdek do ust i krótkim, zrozumiałym tylko dla zainteresowanych sygnałem daje oczekiwany znak.

Każda sekunda podobna jest teraz do niekończącego się czasu. Normalni przechodnie uliczni wydają się teraz wielką groźną masą, w której aż roi się od agentów. Ulicą Bielańską przejeżdża na motocyklu z przyczepką patrol żandarmerii niemieckiej. Tych dopiero licho nadało! Na szczęście przejechali, znikli. Tu i tam na chodniku widać mundur niemiecki. Trudno, robota musi być zrobiona. Wreszcie na zakręcie ukazuje się charakterystyczna sylwetka dużego niemieckiego auta więziennego, krytej budy marki „Renault". Dłonie zwierają się na butelkach, na granatach i na spustach pistoletów. W ostatniej chwili z bramy najbliższego domu wychodzi granatowy policjant. Widzi pistolet w ręku jednego z młodych ludzi: oczy policjanta wytrzeszczają się w nic nie rozumiejącym zdumieniu, a ręce zaczynają szybko gmerać koło kolby rewolweru.

— Precz stąd! — krzyczy Zośka — Odejdź, jeśli życie miłe.

Ogłupiały policjant wyciąga jednak pistolet i podnosi go w kierunku Zośki. Zośka naciska spust, policjant chwytając się za bok, pada na jezdnię i leżąc oddaje kilka strzałów.

W tej samej sekundzie zbliża się od Placu Teatralnego więźniarka niemiecka. Szofer widocznie coś zrozumiał, gdyż dodaje gazu i zamiast wjechać w Nalewki, skręca na lewo w Długą. Za późno! Z chodnika wyskakują przed auto młodzi ludzie; szkło tłuczonych butelek pryska znad maski samochodu objętej w jednej chwili płomieniem. Płomień z szybkością błyskawicy ogarnia szoferkę. Szofer instynktownie naciska hamulec, auto zatoczywszy krzywy łuk, toczy się wolno koło arkad Arsenału Warszawskiego.

Z płonącej szoferki wyskakują dwaj gestapowcy, od strony Nalewek biegnie jakiś oficer S.S. Oficer ten biegnie od strony, gdzie stoi oddziałek granatniczy Wojtka. SS-man zdążył już wyjąć pistolet i krzyczy coś po niemiecku. Wojtek powoli i ze spokojem bierze go na cel i strzela. Niemiec pada zabity.

Gestapowcy którzy wyskoczyli z auta zaczynają nerwowo i chaotycznie strzelać: odpowiadają im polskie strzały. Z pobliskich ruin wyrywa się ostra seria pistoletu maszynowego. Po paru minutach na jezdni tuż koło więźniarek, leżą trzy postacie w mundurach niemieckich, jeden z leżących pali się. Pali się również znieruchomiały przy kierownicy szofer. Strzela uważnie i spokojnie jeden z gestapowców, który wyskoczył z auta. Kule pistoletu maszynowego Niemca biją po filarach Arsenału, za które skoczyła w tej chwili grupka atakujących wraz z Zośką. Młodzi ludzie zaczynają gorączkowo strzelać w gestapowca. Na próżno! Jest doskonale ukryty. Ostrzeliwuje się spokojnie i rozważnie. Jakiś marny typ. Mijają bezcenne sekundy. Okropna rzecz: impas w walce; w walce, gdzie każda chwila zwłoki grozi stronie polskiej nieobliczalnymi następstwami.

Kryzys przełamał Zośka, wybiega spoza filaru i pędzi wprost na gestapowca. „Naprzód"! — woła jakimś nienaturalnym głosem. Jak rzuceni prądem elektrycznym — wyskakują teraz za Zośką jego towarzysze. Słoń dopędza Zośkę. Zaciął mu się sten. Zośka wyrywa zacięty pistolet, repetuje. Inni strzelają w biegu. Niemiec nie wytrzymuje psychicznie, zrywa się i chowa za samochód, gdzie dosięga go kula jednego z nadbiegających. .

Ktoś otwiera płonące drzwiczki szoferki — nikogo. Ktoś inny szarpie płótno z tyłu wozu i ściąga trupa konwojenta — gestapowca. Wojtek otwiera drzwi więźniarki. Onieśmieleni w pierwszej chwili więźniowie rzucają się teraz gwałtownie ku wyjściu, gniotąc leżącego na noszach na pół przytomnego młodego człowieka. Dopiero gdy cała grupa 25 cudem wyzwolonych więźniów wywaliła się z wozu, ukazuje się wypełzający na czworakach przez ławki Czarny.

Szalona radość ludzi, połączona z rozgorączkowaniem bitewnym, nie dostrzega zielono—żółtego koloru twarzy Czarnego zapadniętych policzków, olbrzymiego sińca pod okiem, sinych uszu i patrzących na nich nieruchomo wielkich, otwartych oczu. Już go porwali na ramiona i niosą do czekającego samochodu. Czarny jęczy z bólu, samochód rusza. Przyjaciele nie zwracają uwagi na odbitego, ładują świeżymi magazynkami broń. Dopiero gdy to zrobione — uśmiechają się do Czarnego. Ten spogląda na nich olbrzymimi, rozwartymi oczyma. Na twarzy poprzez skurcz bólu maluje się uśmiech. Bierze w dłoń rękę Zośki i trzyma mocno. Dłonie ma czarne i spuchnięte. Szepce: „Tadeusz, ach Tadeusz, gdybyś wiedział"...

Skrzyżowanie ulic przed arsenałem jest puste — puściusieńkie. Rozpierzchł się gdzieś i ukrył tłum przechodniów, zniknęli tak liczni w tym miejscu szmuglerzy towarów do Ghetta. Wszędzie — cisza. Tylko w powietrzu unosi się jeszcze zapach prochu, jasnym płomieniem dopala się auto więzienne, na jezdni leżą trupy pięciu gestapowców, gdzieś dalej trup oficera SS, na chodniku granatowy policjant. A na tę scenę pobitewną jednego z najsławniejszych wyczynów Polski Podziemnej patrzą prastare mury władysławowskiego Arsenału, świadka insurekcji kościuszkowskiej i rebelii listopadowej 1831 r.

Poszczególne sekcje oddziału przeprowadzającego odbicie więźniów oddalały się od miejsca akcji różnymi ulicami. Wojtek na czele swej akcji granatniczej szedł szybko Długą w kierunku Miodowej. Zbliżali się do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, w którym mieściły się biura Arbeitsamtu. Naprzeciwko idącej z bronią w ręku sekcji, po drugiej stronie jezdni wyszła z Urzędu Pracy grupa około 7 mężczyzn cywilnych. Rzut oka na cywilów nie dał powodu do niepokoju — biegli więc dalej, gdy nagle któryś z idących mężczyzn dobył szybko pistoletu i strzelił.

Niemcy!

Wojtek uczuł ostre uderzenie w brzuch Uderzenie tak silne, że skurczył się, zatoczył i opadł na chodnik. Dotknął lewą ręką ubrania i wyczuł coś ciepłego, lepkiego. Spojrzał — krew. Przez chwilę skurcz strachu wstrzymał bicie serca, ale w ułamek sekundy potem szarpnęła

Wraz z pieśnią przyszła wolność —

Bezimienne słowo mas, niekiedy chropawe, niezdarne w formie, lecz zawsze szczere i silne, mówi, co czuje, o co walczy i do czego dąży lud. W najcięższych chwilach lud wydaje z siebie nieznanych szarych piewców, skromnych poetów i pieśniarzy, którzy stają się językiem i żywą mową ogółu, wyrażają powszechne uczucia i dążenia, zwłaszcza, gdy literatura książkowa zamiera, gdy najeźdźca burzy warsztat kultury i więzi pisarzy... Pióro chwilowo oniemiałe, sztandar walki i pieśń krwią zbroczoną — lud przejmuje w swoje silne ręce. I oni to — robotnicy i chłopi — wiodą „długie nocne rodaków rozmowy", pokrzepiają słowem, ukazują „wolności słońce".

Tak było w latach długiej narodowej niewoli, jaką przechodziła Polska w XIX wieku. I tak było ostatnio, gdy najazd Germanów miażdżył naszą ziemię i wolność, gdy skuwał naród i terorem, jak rozpalonym żelazem, usiłował spopielić nam dusze, serca i myśl.

Zza krat więzień, spoza drutów obozów koncentracyjnych dobiega pieśń. Powstaje poezja i piosenka — jako twórczość anonimowa, uznana, jako wiernie oddająca przejścia, cierpienia, walkę i nadzieję ludowych mas.

Gdy w największym mieście robotniczym, Łodzi, odbywają się pierwsze „łapanki", gdy dnia 9 listopada 1939 roku suną długie kolumny aresztowanych na Radogoszcz, do dawnej fabryki, z której hitlerowscy kaci urządzili jeden z najstraszliwszych obozów koncentracyjnych, to jednocześnie wraz z męką tego pochodu rodzi się bolesne słowo nieznanego poety. Bo przecież tymi ulicami środkiem Łodzi przed wojną ciągnęły pochody robotnicze, socjalistyczne na Polesie, by tutaj przed pomnikiem poległych bojowców z 1905 roku manifestować przywiązanie do ideałów robotniczego ruchu. Tak było przed faszystowskim najazdem. A dziś.

...Dziś już nie powiewa sztandar dumny,
nie łopoce nad nimi już pieśń radosna —
volksdeutsche pędzą ich długimi kolumny
(dawać towarzysze od warsztatu, krosna)
do tej fabryki, gdzie w czółen stukocie
drętwymi palcami płótna nić wiązali.
Tam nary więzienne (nie warsztatów krocie)
rozesłane słomą na tej wielkiej sali...

Za tłumem skazańców zamknęła się fabryczna brama, dziś więzienna brama. Rozpoczęły się dni szare, okrutne, piekło tortur fizycznych i duchowej udręki. Z za krat dochodzi zlekka nucony cichy śpiew więźniarki, w którym słyszymy skargę na los więzienny i nutę zwątpienia. Oto autentyczna bezimienna piosenka z więzienia dla kobiet przy ul. Gdańskiej w Łodzi:

Smutno więźniarką być,
w rękach Gestapo żyć,
na twardej pryczy spać,
na „achtung" wstać.
Za kratą szumi, szumi gaj,
On słucha naszych skarg.
Blask słońca na oknie lśni
A w oczach łzy.
Gestapo bije, bije fest
Niemcy nie dają jeść,
Żołądek z głodu drży
A w oczach łzy.
Za kratą itd.
Choć chiromantki trzy
Wróżą wolności dni,
Ja wiem, że przyjdzie wnet
Obóz koncentracyjny.
Za kratą itd.

Oczywiście w tymże więzieniu, jak w setkach innych w Polsce, rodziły się pieśni nie tylko zwątpienia, ale i słowa buntu oraz wiary. Są to bezimienne, lecz oczywiste dokumenty odporności duchowej aresztowanych Polaków.

Tak było na Pawiaku w Warszawie:

„Choćby ci ręce zakuto w kajdany
i w ciemnym lochu przykuto do ściany,
nie płacz i nie daj się rozpaczy,
bo jesteś Polak, a Polak nie płacze".

Płacz i krzyk bólu, związany z cierpieniami zadawanymi w lochach Gestapo, przewija się w szeregu utworów, gdzieniegdzie nawet z kpinami, jak tego dowodzi wiersz z więzienia krakowskiego Monte-Lupich:

„Bywało, bywało tak i u nas w ciupie,
że tak dostałeś lanie, aż ci w portkach chlupie.
Bijali nas zrana, bijali w południe —
rzepka ci utyła, chociaż ciało chudnie.
Ale nie krzycz chłopie, nie bądźże głupi.
Jeśli nie zatłuką — wyjdziesz z Monte Lupich".

Jeśli nie zatłuką, wyjdziesz z Monte-Lupich. Ale niewiadomo, co było lepsze. Z więzienia rzadko wychodziło się na wolność. Setki tysięcy Polaków wywo-

KAMIENIE NA SZANIEC

Dokończenie

mózgiem ostrość świadomości — ujrzał bowiem lufę niemieckiego pistoletu wymierzoną wprost w swoją twarz.

Niemiec nie zdążył strzelić. Anoda, jeden z chłopców Wojtka, szybciej nacisnął spust swego pistoletu i w chaosie strzałów, które nagle rozległy się na ulicy Wojtek dostrzegł walącego się z nóg Niemca. Reszta — pierzchła za bramę Arbeitsamtu i stamtąd strzelała dalej.

„Wyłuką nas jak kaczki, jeśli się nie przebijemy" — mignęło w omdlewającej głowie Wojtka, gdy uświadomił sobie, że odwrót sekcji z powrotem ku Arsenałowi jest niedopuszczalny.

Fala energii i woli napłynęła do trzepocącego przed chwilą w niepokoju serca.

— Za mur! Za mur! — krzyknął do swoich.

Próbował powstać — i nie mógł. Skurcze chwyciły mięśnie brzucha. Zdołał się jednak unieść na ręku. Wydobył z kieszeni granat, odbezpieczył i całą moc skupiwszy na rzucie — cisnął przez jezdnię ku bramie, za którą schronili się urzędnicy — Niemcy. Gdy widział, że granat, skacząc po chodniku, wtoczył się do bramy — przywarł głową do betonu ulicy.

Huk eksplozji, a w chwilę potem jęki rannych wskazywały, że granat poskutkował. Strzały z bramy Arbeitsamtu ustały.

— Naprzód! Naprzód! — krzyczy Wojtek. Część kolegów pędzi dalej. Dwóch pozostaje przy Wojtku zatrzymują przygodne, obce auto i usunąwszy szofera wciągają rannego. Po chwili pędzą Długą. Wojtek stara się powstrzymać dłonią broczącą z brzucha krew, a jednocześnie rozmyśla nad tym, gdzie w tym stanie zajechać. Niepokoi go także wojskowa ciężarówka niemiecka, która nie chce odczepić się od auta i towarzyszy mu krok za krokiem.

Widocznie wojskowy szofer zorientował się w sytuacji i pragnie zatrzymać uciekających. Oto ciężarówka robi na wirażu skręt, wymija uciekających — i gwałtownie zagradza swą potężną masą drogę małemu samochodowi osobowemu.

Wojtek mimo upływu krwi i bólu czuje się odpowiedzialnym za całość. Od paru minut trzyma w ręku granat. Gdy ciężarówka zabiegła drogę i paru żołnierzy szykuje się do wyskoczenia — Wojtek uchyla drzwiczki swego auta i ciska pod ciężarówkę granat. W tej samej sekundzie towarzysz Wojtka prowadzący auto skręca na chodnik, a ledwo wyminął ciężarówkę — rozlega się eksplozja wybuchu. Jeden z żołnierzy upadł, dwaj inni zniknęli.

Po kilkudziesięciu minutach auto Wojtka zatrzymuje się przed jego domem na Żoliborzu.

Koledzy prowadzą go pod ręce. Opanowując fale omdlenia, idzie powoli, wchodzi do bramy i zmierza do mieszkania.

A zasadą podstawową przy ranach w brzuch jest: żadnych ruchów, żadnego wysiłku.

A. Kamiński (J. Górecki)

Twórczość ludowa w walce z okupantem

żono do obozów koncentracyjnych na ciężki, okrutny los. W obozie tęsknota tworzyła te proste, lecz jakże wzruszające słowa:

„Co dzień wieczorem po pracy skończonej
myśl moja biegnie gdzieś w rodzinne strony.
Obraz mej wioski przed oczyma staje:
Chata ma droga, obrzędy, zwyczaje...
Bo tu się tego nigdy nie zobaczy
U nas inaczej, inaczej, inaczej.

Myśl ma zza drutów do ciebie ulata,
Ojczyzno moja, gdzie spędziłem lata
pomiędzy ludem prostym i wieśniaczym,
zanim mnie Niemiec nie zrobił tułaczem.
Nieraz też cicho za tobą zapłaczę...
U nas inaczej, inaczej, inaczej...

Ale najgorsze prześladowania, tortury wysiedleń, więzień i obozów nie zabiły w Polsce ducha wolności. Obok tęsknej udręki za Ojczyzną budzi się pragnienie swobody. Narasta bunt i entuzjazm walki. Robotnicy i chłopi czekają tylko hasła na czyn. Wszyscy gotowi są walczyć o wolność. I już matki nawet śpiewają dzieciom w kołyskach piosenki, w których przebija wiara, że nadejdzie chwila i wydobędziemy na wroga ukrytą broń. Oto jedna z takich kołysanek. Smutna rzeka to Wisła.

Smutna rzeka, księżyc po niej pływa.
Senne dłonie chyli nad nią klon.
Śpij dziecinno, nic się nie odzywaj —
Śpij spokojnie zakopana broń.

Smutna rzeka, usnął las cienisty.
Srebrne gwiazdy wpadły w ciemną toń.
Gdzieś po lasach, gdzieś po polach mglistych
Czujnie drzemie zakopana broń.

Smutna rzeka, księżyc w dal popłynął.
Ciemna noc na liściach kładzie dłoń.
Śpij, dziecino, śpij żołnierski synu,
Już niedługo obudzimy broń.

Nienawiść do Niemców wylewa się szeroką strugą. Nienawiść wroga i pragnienie wolności prowadzą do walki. Masy ludowe chwytają za broń. Robotnicy kroczą w pierwszych szeregach bojowników. Zapełniają się lasy. Strzałami, śmiałymi wypadami piszą się chwalebne dzieje partyzantki.

Rozmaicie zwało się partyzantów: Jędrusie, Leśni ludzie, Bojowcy. O sobie ci nowi bojownicy o wolność, o swojej ciężkiej bohaterskiej pracy powiadają:

Gdzie się most załamie,
Gdzie podniesie las
Gorejące ramię —
Tam odnajdziesz nas.
Tam, gdzie pociąg w pędzie
Nagle zjedzie z szyn,
Tam nasz sygnał będzie:
Wybij klinem klin.
Niech się Niemiec miota,
Aż się zwali z nóg.
Nasza to robota —
My spłacamy dług.

Partyzantka zatacza coraz szersze koła. Szeregi „leśnych ludzi" rosną. Nikt nikogo nie pyta, skąd rodem, co zacz. Jedno jest hasło: bić Niemca. Jedno uczucie: zemsta na wroga. Bierz karabin i kwita. Czyś chłop, czyś poeta — jeden wspólny cel: walka. Ale gdy oddział wraca z wypadu, gdy szczęśliwie, choć w strudzeniu biwakuje, poeta chwyta swój notatnik polowy, by odtwarzać chwile przeżyte w partyzantce. Oto wiersz znanego poety Stanisława Jerzego Leca pt. „Leśni nocują".

Kolęda

Nocna cisza na dolinie stała.
Anioł schodził księżycową steczką...
Matka Boża dziecię kołysała
i śpiewała: syneczku, syneczku!

Nie pasterze jeno dwaj żołnierze
przybieżeli z raną i udręką.
Zeszli wszystkie bitwy i rubieże,
a był pokój tylko przed stajenką.

„Boże Panie, któryś z nieba zeszedł
dla goryczy ziemskiej i kochania,
daj tęskniącym po rodzinnej strzesze
chociaż kilka źdźbeł Twojego siana.

Nie o skrzydło prosim aniołowe,
lecz o zwykłą dobrą dłoń matczyną,
by jak światłość kładła się na głowę
i opłatek przełamała z synem.

Daj tułaczom wrócić z ziemi cudzej
i na własnym progu serce złożyć...
Niechaj będzie pokój dobrym ludziom
i dzień wstanie w blaskach jasnej zorzy!"

Nocna cisza nad dolną stała.
Anioł schodził księżycową steczką...

Pisane w r. 1944, w obozie.
GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Sosna jak kwoka czarna nad nami —
my u korzeni snami wessani.
Po kościach kwaśno z mokradeł ciągnie,
a tu nie sposób rozpalić ogni.
Nogi — dwa trupy, para topielic
w całunach onuc. Na cuda nie licz.
Jest jeden brezent, radzistka słucha,
daleki kornik w bębenek stuka.
Ptak czasem przez sen tak tęsknie ćwierknie,
że łeb byś nakrył, gdyby miał derkę.
Jak babę grzejesz sobie automat.
Czort wie, szwab może stąd o kilometr.
Chrapią, wszy tłuką, ech, nasermater—
lecz w chłopcach moich coś — że bohater.
Mrówki po śpiących ciągną ciężary,
sen nagle staje, koń nagle zarży
I pyskiem wonym, dymiącym łąką
po śnie i włosach twoich się błąka.
A warty chodzą chwiejnym rozkrokiem,
potkną się czasem. Śnią jednym okiem.

Ale niedługo trwa wypoczynek. Nagły alarm zrywa partyzantów ze snu i stawia na nogi. Niemcy blisko. I znów grają karabiny. Jak powiada piosenka „do tańca grają nam armaty, vissów szczęk". Na chwilę tylko błyśnie wspomnienie opuszczonego domu, może najdroższej sercu dziewczyny... Ale ponad miłosne porywy serca, ponad tęsknotą za ciepłem domu rodzinnego, ponad tym wszystkim góruje jeden wielki cel: walka z wrogiem, odzyskanie Ojczyzny.

Z tych uczuć zrodziła się piosenka partyzantów z Miechowskiego, piosenka dziś znana i rozpowszechniona: „Rozszumiały się wierzby płaczące".

Lasy rozbrzmiewają głosem komendy, odgłosem strzałów, warkotem motorów, jękiem rannych i pieśnią pełną wiary w zwycięstwo. Jednoczy wszystkich jeden cel — walka.

Gdy jesteś z nami, któż się spyta,
kto ty jesteś, kim żeś był,
byłeś szwabskich bił bandytów,
byłeś tego szpiclów bił.

I nie tylko chęć zemsty za krzywdy doznane — wysiedlenia, obozy i kaźnie, ale i wielki ideał przyświeca bojownikom — walczą o Polskę ludową, państwo robotników i chłopów.

Poszliśmy w las, by rzucić w świat wezwanie,
zniszczymy zło i krzywdę, ból i łzy.
A z morza krwi wnet nowy świat powstanie,
Ziścimy szarych mas roboczych sny.

Tak mówią robotnicy-partyzanci. Wtóruje im chłop:

Polskę wolną zbudujemy,
W niej swoboda musi być.
Panom dwory odbierzemy,
Lud radośnie będzie żyć.

Z tych szeregów robotniczo-chłopskich i z najlepszych ideałów wolnościowych Polski demokratycznej powstaje „Wolna Armia wolnych mas", która wywalcza Polskę przy boku sojuszniczej Armii Czerwonej i która jest dzisiaj gwarantem naszej Niepodległości i Wolności.

Długa, uporczywa była walka o wolność. Udział w tej walce mas ludowych uwiecznia pieśń. Niektóre tylko teksty (które otrzymałem od E. Ajnenkiela) przytoczyłem. Mnóstwo pieśni i wierszy z lat walki z okupantem czeka na zebranie i opracowanie. A warto to zrobić, by nie zaginął poetycki dokument największej ludowej walki o Polskę.

T.

Ostatnia wigilia

Tego dnia Wanda wstała wcześnie niż zwykle, ubrała się, napaliła w piecu i otuliwszy szczelnie kołderką maleńką Zosię wyszła z domu. Na ulicach, pomimo wczesnej pory, panował ruch gorączkowy, przedświąteczny, niespokojny i uroczysty zarazem. Wszystkim było pilno dnia tego załatwić swoje sprawy jak najszybciej, wszyscy biegali zaaferowani, przejęci uroczystością, którą za parę godzin mieli obchodzić.

Samym środkiem Marszałkowskiej, na ogromnych saniach wyścielonych słomą przejeżdżał stos zieloniutkich choinek, by na placyku targowym przy Koszykowej wymienić swą żywiczną zawartość na plikę zmiętych złotówek. Jakiś mały chłopczyk zawołał głośno: — Mamusiu, o, patrz, choinki, kup mi tę malutką, tylko dla mnie!...

Wanda z trudem torowała sobie drogę wśród niespokojnego tłumu ulicy. Przy Placu Zbawiciela zegar na wieży kościelnej wybił akurat 9-tą.

— Jak późno — pomyślała — lada chwilę obudzi się Zosieńka, a ja jeszcze nic nie kupiłam.

Wreszcie Koszykowa. — „Mandarynki!!! Świeże, duże, różowiutkie kiejby róże!!!" — zachwala swój towar uliczny sprzedawca.

Wanda kupuje jedną — najładniejszą i największą, długo wybiera w stosie pachnących owoców, zastanawiając się przy tym czy wolno jej pozwolić sobie na ten luksus. Ale zaraz błyska jej w pamięci bledziutka twarzyczka Zosi i wszelkie obiekcje pierzchają w najklilwszym matczynym wspomnieniu.

Teraz jeszcze tylko śledzie, kawałek jakiejś bułki, trochę pierników dla Zosieńki — to chyba wszystko. Nie na wiele można sobie pozwolić gdy Stach oczekuje pomocy — pomocy, którą przecież, jak zapewniał ten pośrednik z Szucha, można kupić za tyle to a tyle tysięcy. Każda złotówka, każdy grosz niemal to cena wolności, a może nawet życia Stacha. Gdyby miała pieniędze, dużo, dużo pieniędzy, możeby Stach był już dziś wolny?

Na szczęście zebrała trochę grosza, sprzedała to i owo, dobrzy ludzie dopomogli i dziś właśnie w południe ma zanieść całą osiągniętą sumę pod umówiony adres.

Może wieczorem dzięki temu będziemy już ze Stachem razem? Ten z Szucha obiecywał jej to wyraźnie.

— Już prawie 10, jak ten czas leci, trzeba będzie jeszcze dokupić trochę jabłek i włoskich orzechów, Stach tak lubił orzechy...

Nareszcie wszystko potrzebne jest już w koszyczku. Wanda w biegu wskakuje w ruszający akurat tramwaj nie bacząc na krzyk dyżurnego policjanta, ani na pełne oburzenia uwagi jakiejś starszej damy obładowanej stosem najprzeróżniejszych paczek i paczuszek.

— Jak późno, myśli zdenerwowana, jak późno. Zosieńka napewno obudziła się i płacze sama w pustym mieszkaniu. Na szczęście tramwaj tym razem bez przeszkód dojeżdża do rogu ulicy Puławskiej. Wanda wyskakuje pierwsza i biegiem pędzi do bramy narożnego domu.

Za chwilę już tuli małą, czerwoną od płaczu buzię. — Cicho, już cicho, Zosieńko, nie trzeba płakać, nie bój się, Niemcy nie przyjdą już więcej. Zobaczysz, jak będziesz grzeczna święty Mikołaj przyprowadzi nam Tatusia. Trzeba tylko zaraz przestać płakać i uśmiechnąć się do mamusi. O, tak, tak — całuje maleńką i zaraz dodaje. — Masz tu na razie jabłuszko, patrz jakie śliczne, zjesz sobie po śniadanku.

— O, nie, to dla Tatusia. — Maleńka jest w rozterce, jabłuszko pachnie bowiem tak smakowicie, ale zaraz opanowuje się i dodaje — to dla Tatusia, dla mnie będzie inne, prawda Mamusiu?

O dwunastej punktualnie idą razem na Piusa pod wskazany adres. Jakaś gruba jejmość obrzuca je podejrzliwym spojrzeniem, lecz dowiedziawszy się w jakiej sprawie przyszły woła w głąb mieszkania: — Herr Lintner, komme hier. Eine Frau ist gekommen!

Gruby, ogromny szwab chciwie przelicza plikę tysięcy. — Gut, alles in Ordnung. I dodaje łamaną polszczyzną. — Teraz iść do domu, mąż przyjść jutro.

Jak ślicznie srebrzy się śnieg na klombach Ujazdowskiego Parku. Wanda wraca z maleńką chłonąc błyszczącymi oczami piękno zimowej szaty, w jaką ustroiła się dziś Warszawa naprzekór jakgdyby wszystkiemu złu, naprzekór nieszczęściom i łzom, naprzekór krwi mordowanych bestialsko Polaków.

W sercu młodej kobiety żywym pulsem tętni najpiękniejsza nadzieja, nadzieja odzyskania Stacha, wydarcie go z łap gestapo. O Boże, czyż może być większe szczęście...

A tymczasem w celi nr 7, w największej celi Pawiaka grupa więźniów skulona na pryczach, pod ścianami i po prostu na kamiennej posadzce usiłuje odgadnąć swój los bawiąc się w „orla czy reszkę".

Wysoki, chudy jak tyka Andrzej cieszy się jak dziecko. — A nie mówiłem, że będę wolny, patrzcie, nawet wróżba nie zawiodła mię, patrzcie, widzieła, orzeł, jak pragnę czkawki, orzeł!

Tymczasem na korytarzu słychać ciężkie kroki. Z trzaskiem otwierają się ciężkie, więzienne drzwi. Gruby żandarm świdruje celę złym, bazyliszkowym spojrzeniem.

— Aufstehen! — Więźniowie wstają powoli i otępiałym wzrokiem wpatrują się w twarz przybyłych. Nie bardzo jeszcze zdają sobie sprawę co znaczy ta nagła i niespodziewana wizyta, wyczuwają tylko, że nie wróży nic dobrego.

Opasły żandarm tymczasem patroluje celę szpiclowskim wzrokiem. Wreszcie wyciąga rękę i grubym, tłustym palcem wskazuje na Andrzeja. Sie!, a potem na Janka Malinowskiego, na Antka z drukarni, na tego, tamtego, na każdego na kim spocznie jego złośliwy, małpi wzrok.

Więźniowie kurczą się pod tym spojrzeniem w nagłym przeczuciu nieszczęścia. — Raus! Alles raus!!!

Zielona buda pędzi szybko ulicami Warszawy. Przechodnie przystają zdumieni i z pobladłymi w nagłym zrozumieniu twarzami chowają się we wnękach domów. Na którejś tam ulicy zielona buda zatrzyma się wyznaczając wreszcie kres dziesiątkom polskich istnień. A nazajutrz...

Nazajutrz Wanda z maleńką Zosią smutna idzie w kierunku Placu Zbawiciela. Stach nie powrócił, może jednak powróci dzisiaj, tak jak obiecywał ten gruby Niemiec z Gestapo?

Na rogu Marszałkowskiej i Placu Zbawiciela tłum tłoczy się przed wielkim, czerwonym afiszem. Wanda podchodzi zwolna i niewidzącymi oczami odcyfrowuje nieznane nazwiska.

— Jezus! Maria! — wzdycha jakaś kobiecina — że też te dranie Boga się nie boją, w samą Wilię ludzi mordować...

Wanda nie słucha dalej, zapomina nawet o Zosi i jak oszalała przepycha się bliżej afisza.

— Co pani wściekła się, czy co? — oburza się sąsiad, ale zaraz milknie widząc jej szeroko otwarte przerażeniem oczy.

Marian Markowski ur. 11 list. 1920 r.
Roman Burko ur...
Tadeusz Kołowski...
Stanisław Kowalski...

Stanisław Kowalski... Stanisław Kowalski... Przeraźliwy krzyk wpada dysonansem w rytmiczny zgrzyt wekslujących tramwajów i zaraz potem drugi dziecięcy, bolesny i przerażający bólem.

Ktoś pochyla się z współczuciem i gładząc czoło zemdlonej Wandy usiłuje podnieść ją z ziemi. Za chwilę koło czerwonego afisza stają nowi ludzie. Tragedia Wandy wsiąka w czyjś inny świeższy, nowszy krzyk.

W kościele Zbawiciela biją głośno dzwony.

K. W.

PREZENTY POD CHOINKĄ

Książka to najmilszy upominek

Oddawna istnieje zwyczaj darowania na gwiazdkę książek. Te prezenty pod choinką należą do najtrwalszych i najlepszych. Książka bowiem stanowi miły i dobry upominek.

Zobaczymy co podarować z książek na obecne święta. Jakie są nowości wydawnicze?

Kto miłuje się w klasykach niech sięgnie do żelaznego skarbca naszej literatury. Właśnie sp. wyd. **„Książka"** wydadała mistrza z Czarnolasu, Jana Kochanowskiego, dramat wierszowany pt. „Odprawa posłów greckich" oraz dwa arcydzieła J. Słowackiego „Lilla Weneda" i „Beniowski". W tymże wydawnictwie ukazało się dokończenie „Lalki" Prusa i epopea Reymonta „Chłopi". Do tej samej serii arcydzieł prozaicznych należy zaliczyć wydaną przez sp. wyd. „Wiedza" powieść Wacława Gąsiorowskiego pt. „Huragan". Jest to już dziewiąte wydanie słynnej epopei historycznej, obrazującej epokę Napoleona i chwalebne czyny naszych legionistów. Dalej — **Państwowy Instytut Wydawniczy** przypomniał aktualne po dziś arcydzieło Stefana Żeromskiego pt. „Wiatr od morza".

Miłośników poezji czeka także kilka upominków. Łódzkie wydawnictwo **„Poligrafika"** rzuciło na rynek pięknie wydaną ilustrowaną antologię pt. „Warszawa bohaterska". Jest to wybór wierszy a nawet pełne zestawienie tego wszystkiego o Warszawie, co znalazło swój poetycki wydźwięk. Antologia układu M. Czerwińskiego i K. Paszkowskiego zawiera kilkadziesiąt nazwisk poetyckich z lat 1939—1945 r. Podobnej tematyki wielkości i grozy dotyka zbiórek wierszy Michała M. Borwicza pt. „Ze śmiercią na ty" wydany przez sp. „Wiedza". Jest to liryczny a wstrząsający w prawdzie pamiętnik obozowych przeżyć. Wreszcie kończy te nowości poetyckie tomik poezji Seweryna Pollaka pt. Godzina życia", który ukazał się nakładem sp. wyd. „Książka".

Przejdziemy teraz do beletrystyki współczesnej, zawsze chętnie czytanej, bo bliskiej nam przeżyciami. Nakładem wymienionej przed chwilą firmy wydawniczej pojawiła się powieść Jana Papugi pt. „Szczury morskie" oraz nowele Ireny Millerowej. „Szczury morskie" jest to wartko i barwnie opisana seria przygód naszych marynarzy czasu ostatniej wojny. Wojaż pod obcą i polską banderą, przygody osobiste, barwne pejzaże egzotycznych lądów i mórz stanowią kanwę fabularną powieści Jana Papugi, którą czyta się lekko i przyjemnie.

Wydawnictwo „Avir" w Katowicach rzuciło na rynek wydawniczy kilka interesujących pozycji powieściowych z domieszką współczesnej politycznej lub urojonej sensacji. „Szczotka do butów" K. Koźniewskiego „Ku najjaśniejszej z gwiazd" B. Pomiana, wreszcie „Waza z epoki Ming" W. T. Christiana stanowią literaturę sensacyjną w dobrym znaczeniu tego słowa. „Szczotka do butów" to powieść reportaż, opiewający przygody Polaka, przypadkowego uczestnika zamachu na gestapowców w Warszawie. Zmuszony do ucieczki bohater opowieści Andrzej Marek przedostaje się przez Słowację, Rumunię, Bułgarię, Turcję, Afrykę Północną, Włochy i Francję — do oddziałów wojska polskiego w Anglii. Ta wędrówka połączona z zabawnymi przygodami, okraszona sensacją i humorem, stanowi właściwy wątek książki. Druga książka wymienionego wydawnictwa „Ku najjaśniejszej z gwiazd" zawiera zbiór opowiadań polskiego lotnika B. Pomiana które obok relacji Meissnera i Fiedlera reprezentują dobrą pozycję w zakresie literatury wojennej ostatnich czasów. Temat i zakres przeżyć B. Pomiana odnosi się do bitwy o Atlantyk, w której pierwsze skrzypce grał wywiad lotniczy. Samotne maszyny wywiadu lotnictwa alianckiego zapuszczały się do najdalszych portów rozpoznawały tysiące małych zatok, ujść rzek, portów rybackich, doków i stoczni od spowitego w wiecznych mrozach i mgłach Trondhjem w Norwegii aż do białego skąpanego w wieczystej wiośnie Brindisi na południu.

Zatrzymajmy się jeszcze nad ściślejszym powiązaniem literatury i życia, nawet polityki. Nakładem łódzkiej **„Poligrafiki"** wyszedł zbiór pt. „Literatura na emigracji". Literatura polska. Jest to prawie antologia, skupiająca tych pisarzy, którzy mając nastawienie demokratyczne występowali lub występują na łamach miesięcznika nowa Polska w Londynie. Nie jest to zatem reprezentacja przeciwnego ośrodka myśli politycznej. Ale i tak w części trzeciej krytycznej zapoznajemy się z przemianami światopoglądowymi na Zachodzie w łonie naszej emigracji, z pracą myśli, która chce ustosunkować się do Nowej Polski rzetelnie i uczciwie. O krytyce piszemy najpierw, ta bowiem jest dla nas, dla kraju najbardziej ciekawa, ale znaczniejszą część omawianej antologii wypełnia literatura piękna. Dział poezji obejmuje nazwiska Józefa Wittlina Marii Pawlikowskiej, Juliana Tuwima, Stanisława Balińskiego, Wł. Broniewskiego, Ant. Słonimskiego, Stefana Themersona, Bogumiła Andrzejewskiego oraz Ireny Tuwim. Z tych emigrantów jak wiadomo powrócili Broniewski i Tuwim. W dziale prozy spotykamy nazwiska Pruszyńskiego, Fiedlera, Meisnera i in.

Wejrzenie w sprawy międzynarodowe daje zbiór znanych artykułów E. Osmańczyka „Sprawy Polaków", relacja F. Bernadotte'a „Koniec trzeciej Rzeszy" (obie książki nakładem firmy **„Avir"** w Katowicach) oraz Jerzego Kowalewskiego praca poznawcza pt. „Ludowa Jugosławia", wydana przez „Książkę".

„Wydawnictwo Zachodnie" w Poznaniu opublikowało cenne przyczynki do poznania Śląska i ziem odzyskanych nad Odrą. A. Targ w źródłowym dziele pt. „Śląsk w okresie okupacji" daje wyczerpujący obraz zagadnień okupacyjnośląskich i walki, jaką toczyli ślązacy z najeźdźcą. Targ charakteryzuje wysiłki III Rzeszy w kierunku zniszczenia polskości na Śląsku, omawiając kolejno: biologiczne niszczenie polskości, polityczną walkę z polskością, kulturalne i gospodarcze niszczenie Polaków. Broszura omawiana stanowi zarówno dokument zbrodni niemieckiej, jak i dowód twardego hartu ślązaków w wiernym przywiązaniu do Macierzy.

Dr. Maria Czekańska w pracy pt. „Z biegiem Odry" (nakładem tegoż **Wydawnictwa Zachodniego)** daje jakgdyby żywo pisany przewodnik po Ziemiach Odzyskanych. Kolejno są omawiane: gospodarka i zasoby naturalne Śląska, zagadnienie ludnościowe na Śląsku, miasta i komunikacja na Śląsku, Ziemi lubuskiej, wreszcie problemy Pomorza Zachodniego. Praca wyposażona jest w mapkę i 22 zdjęcia.

Tematyka omawiana znajduje już swoje odbicie i w poezji. Notujemy ciekawą próbę nadodrzańskiej poezji regionalnej.

Stanowi ją zbiorek poezji L. Golińskiego i F. Fenikowskiego pt. „Odra szumi po polsku", nakł. również **„Wydawnictwa Zachodniego"**.

Na zakończenie zwrócić należy uwagę na pracę o charakterze monograficznym. Z. Młynarski w dziele pt. „Z dziejów demokracji polskiej" (nakładem **„Książki"**) daje wizerunki przywódców „Ludu Polskiego" (r. 1835), Dembowskiego i Ściegiennego, odtwarzając jednocześnie prądy ideologiczne nurtujące w ub. wieku w kraju i na emigracji. Stulecie śmierci Jana Karola Marcinkowskiego, wielkiego Polaka patrioty i działacza na terenie Wielkopolski było bodźcem do pojawienia się monografii dr. W. Jakóbczyka pt. „Doktór Marcin" (nakładem **„Wydawnictwa Zachodniego"**) Wreszcie czołowa poetka uciśnionych Maria Konopnicka doczekała się obszernej a źródłowej pracy pióra J. Słomczyńskiej pt. „Maria Konopnicka". Życie i twórczość", wydanej przez wydawnictwo łódzkie **„Poligrafika"**.

WIGILIA TUŁACZY

— Jak tam, panie Królik, święta się panu zapowiadają.

— Owszem, nie mogie powiedzieć, żeby źle. Nie to, ma się rozumieć, co przed wojną, kiedy to siedem potraw obowiązkowo na wilii musiało figurować: śledź pocztowy z cybulką, zupa grzybowa z gwiazdkamy, szczupaczek po żydowsku, karp na szaro, grzyby zmażowe w cieście, kluski z makiem i komput.

Teraz będzie troszkie skromniej, ale zawsze nie ostatnio. Na pierwsze kartkowy ulik w ikre kopany, na drugie „Wśród nocnej ciszy", na trzecie „W żłobie leży", na czwarte „Przybieżeli pasterze", na piąte i szóste jeszcze dwie kolędy, no i ma się rozumieć na zakończenie suszone śliw ki od „Undry". Gwiazdki będziemy mieć w górze nad głowami, bo właśnie wczoraj w nocy dach nam sąsiedzi zaszabrowali.

— No śmiech, jeszcze się tam znajdzie u pana coś nie coś wypić i zakąsić. Dzisiaj rano widziałem, jak pańska małżonka kosz żywności taskała, ryba też była, bo ogon cholerze wystawał.

— Wiadomo, żarty mają swoje miejsce. Jak będzie tak będzie, ale gront, że u siebie w Warszawie, bo w zeszłem roku miałem takie święta, że wrogowi nie życzę.

— A gdzie pan był.

— W tem całem Krakowie.

— No i co, źle tam panu było?

— Owszem, miasteczko sobie nawet niczegowate. Tylko ludzie jakieś dziwne. Żżyć się, uważasz pan, nie można. Przyjęli nas nawet gościnnie, nie powiem. Jeden doktór, bo tam, uważasz pan, co drugi facet — to doktór, dał nem pokój w swojem mieszkaniu i na razie było wszystko jak najlepiej. I wiesz pan o cośmy się posprzeczali. Nie uwierzyłbyś nigdy. Razem ze mną mieszkał Kropidłoszczak, ten dziobaty. Święta szli, no to myślem sobie, nie można tak z założonemi rękami siedzieć, ciężarem być dla społeczeństwa. A że Kropidłoszczak wywiózł z sobą z Warszawy aparacik no to się go ma sie rozumieć ustawiło. Cylinder miedziany, na rury zdjęło się doktorowi mosiężne grymsa od firanek, ceberek na zacier — i cała fabryka.

Ledwośmy maszynkie puścili, wlata doktór.

— Co tu tak ankohol czuć — się pyta. — Co panowie to robią.

— A co mamy robić, śmietankie prosto od krowy? Bimber się robi.

— Jak to, u mnie...

— Tak. A bo co.

Myślałem, że go zła krew zaleje. Zagłowę się złapał, zaczął krzyczeć, że go zniszczem, że do więzienia razem z nami pójdzie i temuż podobnież.

Na razie przypuszczenie zrobiliśmy, że mu się o spółkie rozchodzi. Chcieliśmy go wziąść na trzeciego, bez jednego grosza, a ten nic, tylko żeby się wyprowadzić.

— Niemożebne.

—Skarz mnie Bóg, tak było.

— Faktycznie dziwny człowiek, przecież mógł zarobić „harmonię" pieniędzy.

— I patrz pan, przed samymi świętami musieliśmy się wyprowadzić. Całe szczęście, że się znalazła jedna litościwa profesorowa i wzięła nas do siebie.

W wilie gorzkiemi łzami się zalewaliśmy, jakieśmy sobie wspomnieli choinki za Żelazną Bramą, chłopaków za Herodów przebranych, pasterkie u Fary...

Żeby nas pocieszyć to owa profesorowa kupiła mojemu Józkowi drewnianego konika i pozwoliła mu się niem bawić pod choinką. Józiek konika wrzucił w kąt, wytaszczył skądś swoją własną zabawkie i coś tam koło niej majstruje. My kolędy zasuwamy i widziem, że profesorowa podchodzi do niego, głaszcze go po głowie i zapytanie uskutecznia:

— Co ty masz chłopczyku, co to jest?

— Toto?

— Tak.

— Granat.

— Jak to... granat...

— No, granat ręczny niemiecki — dziewiątka.

— Pra... pra... prawdziwy?

— A jaki. Lipę bym zabierał z Warszawy — odpowiada Józek i bawi się dalej.

A paniusia, uważasz pan, fajt i leży — zemglała. No to my dawaj ją, ma się rozumieć, czucić. Wylelismy na nią ze dwa kubły wody, zaczem przyszła do siebie. Jak otworzyła oczy i zobaczyła Józia, zaczyna krzyczeć. Wtenczas ja się odzywam w te słowa:

— Niech się pani szanowna nie oba, wia, on sobie krzywdy nie zrobi — fachowiec jest. Chociaż ma dziesięć lat, lepiej się z tem umie obchodzić, jak niejeden naturalny wojskowy. Po czterdzieści dziennie ich rzucał z barykady na Sielierkach.

A ta się uparła i nic, tylko odebrać, wynieść z domu, bo przyjdą żandarmi, znajdą i będzie nieszczęście. To ja mówie:

— Pani szanowna, jakżeż ja mogie dziecku zabawkie w wilie pod choinką odbierać. Czy to byłoby religijnie.

A ona krugom swoje, wyszłem ma sie rozumieć w końcu z nerw i przeczytałem jej fest litanię, żeby się do cudzych dzieci nie wtrącała. No bo rzeczywiście, żeby miał rozpylacz, czy „filipinę" — rzecz druga — duża sztuka, mogą szkopy znaleźć. Sam bym dał pętakowi po uszach i broń odebrał. Ale mówię panu śmiech nie granat, kurze jajko, jak pragnę zdrowia i tyle krzyku.

Ponieważ, że mnie obraziła jako ojca dzieciom, zabrałem rodzinę, rzeczy, trzasłem drzwiami tak, że z zawias wyskoczyli i wyszliśmy.

Tak, tak. Krakowiaki dobry naród, ale trudny w pożyciu — cykoryjny.

Wiech.

Święta Bożego Narodzenia

Mija druga powojenna Wigilia, drugie Święto Bożego Narodzenia, Święto przebaczenia, święto miłości i miłosierdzia...

Mimo woli w kalejdoskopie naszych wspomnień przewijają się inne Wigilie, inne święta Bożego Narodzenia, spędzane w innych niż dzisiejszych warunkach.

Lata wojny. Nie było domu polskiego gdzie na stole wigilijnym nie stało by puste nakrycie, symboliczne. Symbolem tym był ktoś bliski i drogi, zawieruszony w dalekim świecie, odgrodzony od nas żelazną granicą czołgów i dział, ktoś tęskniący z za drutów obozów czy murów więziennych ktoś wreszcie kto już nigdy miał do nas nie wrócić.

Szły lata, narastała nasza tęsknota i ból, narastała nasza nędza wegetacji wojennej, pyłem zapomnienia pokrywały się nasze tęsknoty i rozpacze. Wigilijne nakrycie, z nietkniętym opłatkiem, wyrastało każdego roku niezmiennie na naszym stole oswajając nas co raz bardziej z swą bolesną symboliką. Pamiętamy wszyscy te smutne, ponure wigilie, pamiętamy tragiczną wigilię Wawra pod Warszawą, wigilię Pawiaka i wreszcie tę ostatnią, przed powstaniową, krwawą wigilię trzech warszawskich egzekucji na Woli. A potem smutną, samotną wigilię, obcą i nieprzyjazną, poza zburzoną Warszawą, wigilię ciężką od przygnębienia i żalu...

Poza nami zostało wszystko najbliższe nam i najdroższe, przed nami czerniła się szkieletami Warszawa, przed nami czerniła się wizja samotnego, wygnańczego życia. To była nasza ostatnia, najsmutniejsza wigilia.

Dziś upływają prawie dwa lata od zakończenia wojny. Po raz drugi w warunkach pokojowych obchodzimy Święta Bożego Narodzenia, po raz drugi dla wielu z nas zniknie symboliczne, puste nakrycie ze stołu. Są tacy którym tego roku nie braknie nikogo przy wigilijnym stole, ale są i inni. Ci biorąc opłatek do ręki spojrzą przez łzy na puste miejsce przy stole, puste od tylu lat, miejsce, o którym dziś już się wie że nigdy nie zostanie zajęte. Inni znów, matki, żony czy dzieci w drugi powojenny wieczór wigilijny łamać się będą symbolicznie opłatkiem z synem, mężem czy ojcem, oddalonym granicami obcych państw, zawieruszonym w świecie, tęsknić będą i zrezygnowani wpatrywać w dawne pobladłe fotografie. Lecz prócz tych będą i inni. Ci najtragiczniejsi, najbardziej godni współczucia. Rodziny osierocone już teraz w wolnej ojczyźnie, dzieci którym zabrano ojców, żony którym wydarto mężów... Czyż łzy ich i ich ból nie powinien być dla nas głosem sumienia, czyż nieszczęście ich nie powinno rozpalić w sercach naszych postanowienia innego życia, innego stosunku do naszych rodaków bez względu na różnice ideowe jakie nas dzielą?

Prasa nasza poruszała wielokrotnie problem niebezpieczeństwa na jakie narażone są serca i myśli naszej młodzieży. I właśnie w tej walce o serca i dusze naszych dzieci, w walce o zachowanie równowagi psychicznej w duszach społeczeństwa powinna największy udział wziąć kobieta.

Zadanie niesławne — to prawda, ale jednak możliwe do zrealizowania. Piastujemy w społeczności wysokie godności matek, wychowawczyń, nauczycielek. Na tych więc stanowiskach możemy zdziałać bardzo wiele. Dopomoże nam w tym napewno nasza kobieca intuicja, delikatność i takt, który najlepiej wskażą drogę postępowania. Przy tym wszystkim jednak musimy same starać się być przykładem w swym postępowaniu. Musimy sięgnąć po wszystkie nasze przymioty umysłu i serca, by dzieciom naszym nie tyle słowami ile przykładem wskazywać jasną i uczciwą drogę. Musimy się zdobyć na najszczytniejszy a jednocześnie najprostszy humanitaryzm, obowiązujący każdego uczciwego człowieka. Niechaj dzieci nasze wzrastają w atmosferze miłości i braterskiego współdziałania, w atmosferze prawdziwie przyjaznej i twórczej współpracy.

Nie będzie to takie trudne do osiągnięcia jeśli w serca dzieci naszych wpajać będziemy poszanowanie wzajemne siebie, swoich zasad jeśli nauczymy je pracy dla odbudowy naszego kraju, dla spokoju i normalizacji naszych wewnętrznych stosunków.

A wtedy może w przyszłą powojenną, trzecią z kolei wigilię mniej będzie smutnych, skrzywdzonych ludzi i mniej pustych nakryć po tych, których złość ludzka wyrwała z naszych rodzin.

Pamiętajmy o tym, my kobiety — pamiętajmy gdy pierwsza gwiazda wigilijna zaświeci w nasze okna.

H. M.

JAK MOŻNA BYŁO BEZKARNIE SPOLICZKOWAĆ GESTAPOWCA?

Opowiada o tym następująca autentyczna historia. W pewnym przedziale kolejowym we Francji w roku 1942 jechał pewien Rumun, młoda Francuzka, starsza Francuzka i pewien gestapowiec. W pewnej chwili pociąg wjechał do tunelu, usłyszano odgłos pocałunku po czym nastąpił siarczysty policzek. Po wyjechaniu z tunelu panowała zupełna cisza.

Starsza pani zazdrościła młodszej, sądząc, że to ona była pocałowaną.

Młodsza dziwiła się, że jeden z mężczyzn wybrał starszą.

Niemiec myślał: Rumun zapłaci mi za to, on całuje a ja dostałem po twarzy.

A Rumun myślał: Pocałowałem samego siebie w rękę a po tym dałem Niemcowi w twarz. Dawno miałem na to ochotę!

„HEIL KRESS"

Jest na świecie wcale nie najmniejszy i z pewnością nie najbardziej demokratyczny kraj Argentyna. Rząd tejże Argentyny uważa, że wszystkie kierunki polityczne są dozwolone, nawet faszystowski. Mieszka tam nie mniej jak 80.000 Niemców, którzy dysponują 45 szkołami. Jak stwierdził jeden z korespondentów prasowych w 25 z pośród tych szkół wisi oficjalnie... portret Hitlera a obok portret miejscowego „führera" Kressa. Dzieci witają nauczycieli „Heil Kress".

Nic nowego pod słońcem.

Wigilia moich wspomnień

Każdy z nas ma w swym życiu szereg wspomnień do których wraca w chwilach samotności, czy też wewnętrznego załamania się. Wspomnienia te nastrajają nas różnie, gdyż różne są obrazy przesuwające się wtedy w naszych myślach! Są wspomnienia, które wywołują uśmiech radości, są inne — które nastrajają nas mgiełką melancholii, a są i takie, które wywołują bunt, pobudzają do działania, i nie dadzą spokoju wewnętrznego, dopóki czyn nie będzie ich następstwem!

W okresie świąt dorocznych jesteśmy szczególnie skłonni poddawać się wspomnieniom, robić przegląd naszych przeżyć, które z większą mocą ugruntowały się w naszych sercach. Zbliża się „Gwiazdka" i ona to nasuwa mi pamięć pierwszej „Wilii minionej wojny".

Zima 1939 roku nie była lekką. Do wszystkich klęsk jakie na Polskę wtedy spadły — natura dołożyła jeszcze i swoją, w postaci kilkunastostopniowego mrozu i stałej zawiei. Grudzień — był prawdziwym miesiącem zimy. Może nie byłoby to takie nieznośne, gdyby życie wielu z nas było życiem w normalnych warunkach — lecz, niestety! Stałym miejscem zamieszkania — była nam opuszczona fabryka na Radogoszczu! Opuszczone mury — nie są do zamieszkania, a okna z powytłukiwanymi szybami — nie chronią przed mrozem! Trochę słomy — i to co miało się na sobie, lub co bliscy przysłali — stanowi jedyną możliwość ochrony przed zimnem! Wydaje się nam, że jesteśmy zapomniane i wyrzucone po za żywe społeczeństwo! Stanowimy masę o pewnej zdolności do pracy, czy może objętość wykopanego gdzieś dołu — trudno jest odgadnąć, jak trudno jest przewidzieć następną chwilę! Dzień daje się łatwiej przeżyć, lecz noc jest ciemna, zimna i g r o ź n a! Często słychać odgłosy razów, skowyt bitego, a i trzask łamiących się, pod ciężarem buta żandarmskiego kości — nie jest nam dźwiękiem obcym! Przed nocą — liczymy się wzrokiem, i żegnamy się bez słów!

Dzień 22 grudnia był jednak jakiś inny! Czuło się, że c o ś nastąpi! Nasi stróże chodzili, szwargotali, naradzali się! Od samego rana słychać było szum motorów zajeżdżających aut, odgłosy rozmów i wydawanych rozkazów. Mniej uwagi zwracali na nas — nasi „opiekunowie". Ruch ten trwał przez cały dzień a i z nadchodzącą nocą nie uległ wielkiej zmianie! Los nasz już nadchodzi! Jakim on będzie? Następnego ranka widzimy na podwórzu fabrycznym — duże zmiany. Ostrożnie — by nie zwrócić na siebie uwagi żadnego z cerberów, staramy się dotrzeć do okna i zobaczyć co się tam dzieje? Grupa stłoczonych mężczyzn, obdartych, sinych od mrozu — stoi na podwórzu fabrycznym! Nasi sąsiedzi — jak my więzieni przez okupanta! Co teraz się stanie? oto pytanie— jakie każda z nas stara się rozstrzygnąć! Nadchodzi wieczór! Każą nam się szykować do drogi! Parami — przechodzimy pod czujnym okiem oprawców, jesteśmy już na podwórzu fabrycznym! Podwórzu, które tyle dni i nocy było nam ziemią nieznaną! Oświetlone jaskrawo — rzuca w nasze oczy szpalerem żandarmskich mundurów, zimnych wrogich oczu bijących nas spod niemieckiej „pikielhauby". Tym to szpalerem mamy maszerować do stojących opodal wagonów tramwajowych! Ten jaskrawo oświetlony szpaler naszego wroga ma być widokiem ostatnim jaki wyniesiemy z Radogoszcza! Pilnujmy się — każdy nierozważny krok — a bagnet żandarmski nastawiony w naszą stronę! Idziemy powoli, ciche, a nad nami wyiskrzone niebo, takie codzienne i takie zimne! Za żandarmami kolumna mężczyzn! Patrzą na nasze twarze — na nasz krok ociężały... i nagle... pięść zaciśnięta wzniesie się do góry, jedna, druga, dziesiąta, a z szarej masy więźniów wyrwie się okrzyk: — „Wolność". Trudno było znaleźć sprawców, trudno odgadnąć kto wołał. Jedna chwila — i idziemy już sprężyście na przeciw swemu losowi. „Wolność" brzmi jeszcze w powietrzu, „wolność" zapadło to słowo w nasze serca, tego nam nie wydrzecie!

Stłoczone w wagonie tramwajowym przejeżdżamy przez Łódź — czy jak już w tym czasie usiłowano ją nazywać „Litzmannstadt". Długa jest jazda tramwaju o zamkniętych drzwiach! Plac Wolności jest jaskrawo oświetlony — a przy tym zasłany cały flagami czerwieni! Nie to, że przylepiła się do flag — czarna plama „Hakenkreutzu" Kolor czerwony jest nam bliskim, kolor czerwony — to kolor krwi robotnika, a czarna plama nam nie straszna, bo jeszcze w uszach dźwięczy słowo „Wolność"! Jedziemy do stacji Kaliskiej i tam tramwajowe wozy odstawione na boczne tory, czekają swojej kolejki! Mróz wzmaga się! Kulimy się jedna do drugiej, aby nic nie uronić choć z własnego ciepła! Drzwi wagonów szczelnie pozamykane — a nasi stróże tupiąc, kręcą się obok. W pewnym momencie — drzwi otwarte ostrożnie, wpuszczają do naszego wagonu w mundurze tramwajarza — człowieka z pełnym imbrykiem gorącej herbaty! Zgrabiałe od zimna ręce wyciągają się chciwie po zbawczy płyn! Cicho — aby nie było widać z zewnątrz, rozdaje nam nasz przyjaciel całą, przyniesioną przez siebie herbatę i mówi: w taki wieczór — musicie czuć się z nami razem, w taki wieczór, wieczór wigilijny pamiętajcie o tym, że sprawiedliwość zwycięża! Wieczór Wigilijny! Przyniósł nam z sobą ciepło od braci Polaków i zbawcze słowo „Wolność".

Nie strasznym było dla nas jutro! Uciekła z naszych serc trwoga! Więźniarki — bez prawa i opieki, bez państwa i rodziny — przeżyłyśmy „Pierwszą Wojenną Wigilię" w łódzkim tramwaju, przy trzaskającym mrozie, jednak uśmiechnięte i z wiarą patrzące w jutro!

W. Czabakowa

Kaprysy mody

Tegoroczny sezon zimowy upłynie prawdopodobnie pod znakiem starych modeli. W Paryżu jednak i w Londynie większe domy mody lansują już nowe kreacje o linii zupełnie odmiennej od tej jaką przywykliśmy od przeszło 6-ciu lat uważać za szczyt szyku i elegancji.

Sylwetka modnej pani w niczym nie będzie przypominać męskiej kanciastej sport-girls o szerokich, kwadratowych ramionach i wąskich chłopięcych udach. Nowa moda wymaga okrągłych, miękkich w linii ramion i szerokich bioder. Dlatego też niedługo będziemy nosić suknie z dawno zapomnianymi tiurniurami, a kostiumy i palta o nieco wywatowanych biodrach. Krój spódniczek ulegnie również zmianie. W miejsce krótkich i wąskich nowa moda wprowadza szerokie, kloszowe lub z kontrafałdami. Długość spódniczek również ulegnie modyfikacji. Pięknym paniom nie wolno już będzie prezentować zgrabnych nóżek albowiem nosić będziemy sukienki przynajmniej 10 cm poza kolana.

Jeśli idzie o kapelusze to najważniejszą cechą nowych modeli jest ich młodzieńczość. Kapelusze nosić będziemy tylko z czoła, ozdobione kokardkami, z dużą ilością piór. Bardzo modne są w tym sezonie pióra strusie, niestety tylko nie dla wszystkich dostępne ze względu na ich wygórowaną cenę. Radzimy więc przejrzeć skrupulatnie stare szuflady naszych babek, a może w niejednej znajdziemy tak cenne dziś ptasie ozdoby.

Upłynie zapewne jednak trochę czasu zanim nowa moda spopularyzuje się u nas, tak że nie warto martwić się zbytnio przyszłymi wydatkami. Narazie wolno nam być jeszcze smukłą, chłopięcą sport-girls.

Sabina

WIGILIJNE WIERZENIA LUDOWE

Święta Bożego Narodzenia należą bezsprzecznie do najbardziej obfitych w legendy i tradycyjne obrządki. Mieszkańcy miast znają zaledwie znikomą część owych tradycyjnych zwyczajów, większość ich żyje kultywowana starannie po wsiach i małych miasteczkach, przekazywana legendą z ust do ust przez stare babki, przez piosnki ludowe i opowieści.

Najbarwniejszy, najbardziej obfity w wierzenia i legendy jest sam dzień wigilijny. Już od samego rana człowiekiem powoduje tradycja. W wigilię nie wolno wstać lewą nogą z łóżka, bo wszystkie zamiary świąteczne nie spełnią się, nie wolno się złościć ani płakać, bo cały rok będzie upływał nam pod znakiem płaczu i złości, nie wolno jeść dosłownie żadnej potrawy ani pić cokolwiek innego niż czystą wodę. Zwłaszcza na Mazowszu zwyczaj ten przestrzegany jest aż do przesady. Dziecko, które ośmieliłoby się zjeść cokolwiek w dzień wigilijny karane jest przez oburzonych rodziców z całą surowością, nawet malcy muszą tego dnia odcierpieć ową wigilijną głodówkę.

Od przesądów nie są wolne naturalnie i pracowite gosposie. Kuchnia w dniu wigilijnym to istne misterium, gdzie w białym fartuchu, czerwona z gorąca i emocji gosposia krząta się wśród stosów pieczywa, mięs i garnków. W ten jeden jedyny dzień młode dziewczęta na wyścigi starają się w czymkolwiek pomóc przy kuchni, a już do najważniejszych wymarzonych prac tego dnia należy tarcie maku. Przypowieść bowiem głosi, że ta, która w domu w dzień wigilijny trze mak w następnym wyjdzie pierwsza za mąż.

Ile jest prawdy w owej legendzie nie wiadomo. Dziewczęta jednak wierzą na słowo nieznanym wróżbitom, szukając szczęścia wśród soczystych ziarnek wigilijnego maku. Trzeba przyznać, że obyczaj ten jest bardzo pożyteczny zwłaszcza dla gospodyń domu. Ileż to młodych dziewcząt siłą nie zagnałoby się do pomocy w kuchni, gdyby nie owa piękna legenda?

Wróżby rychłego zamążpójścia kryją w sobie też okruszynki ze stołu wigilijnego. Wystarczy zebrać okruszynki z serwety, wyjść przed dom i rzucić je przed siebie. Z której strony w tym momencie odezwie się szczekanie psa, stąd nadejdzie ukochany. Wróżba ta jest naturalnie przeznaczona wyłącznie dla mieszkanek wsi. Nie wyobrażacie sobie chyba dziewczyny, która by w dużym mieście chciała czekać przed domem na szczekanie psa. Raczej na szczekanie tramwaju lub klakson auta czy roweru.

I tylko dla wsi dobre wróżki wymyśliły następującą legendę, którą tak pięknie odtworzył Reymont w „Chłopach". Zwyczaj ludowy każe w noc wigilijną o północy zanieść bydłu do obory wszystkiego po trochu z wigilijnej wieczerzy. Tej nocy bydło jada to samo co i ludzie a nawet mówi ludzkim głosem. Jest tylko warunek: o ile w pobliżu nie ma człowieka grzesznego. Może to właśnie dlatego nikt nigdy jak dotąd nie słyszał bydlątek gadających ludzkim głosem.

Na Kujawach gospodarze stawiają w rogu izby, w której jada się wigilijną wieczerzę snop niewymłóconego zboża. Nazajutrz starannie wyłuskują z kłosów ziarno, które domieszane do siewnego mieszka zapewnia piękne i urodzajne zbiory.

W niektórych okolicach kraju istnieje zwyczaj, który każe podkładać pod wigilijne nakrycia prezenty. Przeważnie jednak prezenty kładzie się pod choinkę, lub jak np. w Poznańskim, do pończochy zawieszonej na noc przy piecu. Tak zresztą jeden jak i drugi obyczaj nie jest czysto polski, przyswojony został z zagranicy i spopularyzowany u nas w kraju.

Typowo natomiast polskim jest mit o świętym Mikołaju. Święty Mikołaj w noc wigilijną schodzi na ziemię obładowany prezentami dla grzecznych dzieci. Zagląda do domów po wsiach i miastach ubrany w długie pontyfikalne szaty, wprawiając w drżenia dziecięce serduszka swą długą siwą brodą, przyprawianą naturalnie z lnu lub białej gremplowanej wełny.

Wszystkie te legendy kryją w sobie dużo piękna i dużo dydaktycznej prawdy. Ktoś kiedyś powiedział, że obyczaje są źwierciadłem narodu. Jeżeli tak, to możemy być dumni z naszych narodowych wierzeń i obyczajów. Tradycja nasza nie kultywuje tak jak np. niemiecka napastniczych czy podbojowych legend. Nasze kolędy nie mówią o rycerskich wyprawach zdobycznych tak jak kolędy i kołysanki Mozarta, mówią natomiast o wielkim święcie miłości i pojednania, jakim dla nas Polaków przede wszystkim jest święto Bożego Narodzenia.

Hanna Majewska

Kongres oświatowy

W czasie od 8 do 10 grudnia rb. włącznie odbywał się w Warszawie Kongres Oświaty Polskiej Partii Socjalistycznej. Na zjazd ten przybyło ponad 1.500 oświatowców z całej Polski, członków Partii. Sprawozdania z przebiegu obrad ukazywały się w codziennej prasie, informując czytelników o treści referatów, o przebiegu dyskusji. Nie chcę powtarzać tego, co już zostało opublikowane — chciałabym tylko spojrzeć na ten fakt oczami dzisiejszego obserwatora.

Obrady trwały dni trzy i nie wiem czy jest jakakolwiek sprawa polityczna, gospodarcza czy społeczna, któraby nie została na tym kongresie poruszona. Spojrzenie na młodzież obecną, na jej stosunek do władz, do chwili dzisiejszej — oto sprawa nurtująca nauczyciela, wagi pierwszorzędnej. Jest jeszcze zbytnie zbiurokratyzowanie szkoły, małe powiązanie jej z życiem i problemami społecznymi, a młodzież w wielu wypadkach dąży do wysferzenia się! Nie chce wrócić do roli syn chłopa po ukończonej szkole, nie wraca do warsztatu rzemieślniczego syn mieszczanina! Dopóki szkoła nie będzie należycie związana ze społeczeństwem, dopóki nauczyciel nie będzie czujnym regulatorem i wychowawcą, dopóty nie będziemy mogli spokojnie patrzeć w jutro. Dużo ma bolączek nauczyciel, dużo jest bolączek w szkole. Wszystkie one są sygnalizowane z różnych ośrodków. Nauczyciel jest pariasem, oświata jest na marginesie projektów rządowych! Oszczędność na nauczycielu — to ubożenie narodu!

Skrzętnie notowane referaty i głosy dyskusji trafiają do rąk rządu, a właściwie do pierwszego ich przedstawiciela Tow. Premiera Osóbki Morawskiego. Rękawice oskarżeń, żalów i kłopotów On podejmuje, on na nie odpowiada. W naszym życiu nie zawsze mamy odwagę mówić o wszystkich sprawach, często wolimy o nich szeptać, lub je wogóle przemilczeć! Co usłyszymy więc od przedstawiciela Rządu, od naszego towarzysza partyjnego? Każdy poprawia się na swym miejscu, każdy nadstawia ucha, aby usłyszeć każde słowo! A z ust Towarzysza Premiera padają słowa, tak bardzo proste i tak bardzo szczere! Wszystko co było dotychczas tylko przez nas szeptane, wszystko co nas boli — jest otwarcie, uczciwie i tak bardzo szczerze omówione. Nie jesteśmy pariasem jeśli stanęliśmy do pracy, budżet oświaty — to drugie miejsce w budżecie państwowym, a nauczyciel — to fundament przy budowie domu demokracji! Nie ma potrzeby powtarzać słów przemówienia, nie jest rzeczą ważną, aby odtworzyć treść dyskusji — istotna jest jedna rzecz! a jest nią szczerość w omawianiu istotnych dla nas zagadnień. Patrzyłam po sali! Nawet twarz tego najbardziej nieszczęśliwego kolegi — rozpogodziła się, nawet ten bardzo sceptyczny kolega — uśmiechał się!

Wizytowa suknia Eweliny

W jasno oświetlonej wystawie wielkiego magazynu wisiała ładna toaleta wizytowa.

Najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek uszyto, tak przynajmniej myślała Ewelina, która już od kilku minut przyglądała się wystawie ze wzrastającym zachwytem.

Gdyby mogła włożyć ten cudowny strój, miałaby z pewnością wszystkich mężczyzn u swoich stóp. Przedewszystkim zaś zwróciłaby na siebie uwagę Janka Gromskiego, najprzystojniejszego młodzieńca Łodzi. Ewelina wyobrażała sobie, jak oczy jego rozbłysną, gdy ujrzy ją w nowej sukni. Mogłaby wtedy śmiało współzawodniczyć z wszystkimi przyjaciółkami, a nawet z Marią, którą Janek odprowadził ostatnim razem do domu. Cóż z tego jednak, kiedy miała w torebce tylko 200 złotych.

Cofnęła się o parę kroków, chcąc spojrzeć na upragnioną rzecz z daleka. Jak wspaniale prezentuje się ona w świetle elektrycznym. Niestety kosztowała 8 tysięcy złotych, co przekracza kilkakrotnie Eweliny pensję miesięczną. Będzie musiała znów włożyć swoją starą suknię Unrowską, która jest niemodna.

Wargi jej zadrżały lekko ze wzruszenia, a w oczach ukazały się dwie duże łzy.

— Pani ma zupełną słuszność — usłyszała naraz tuż blisko jakiś przytłumiony męski głos. — Piękna suknia jest wyłącznie stworzona dla uroczej kobiety. Mam wrażenie, że ta byłaby w sam raz dla pani.

Ewelina obejrzała się nieco skonsternowana tym odezwaniem się nieznajomego i zamierzała odejść od kuszącej wystawy. Nie należała bowiem do tego rodzaju młodych dziewcząt, które zawierały znajomość na ulicy z obcymi mężczyznami. Elegancki, acz trochę otyły pan przytrzymał ją jednak za rękę.

— Proszę zaczekać momencik, — powiedział uprzejmie, - - pragnąłbym nabyć dla pani tą drobnostkę. Widzę, że bardzo się pani podoba.

Młoda dziewczyna spojrzała nań zdziwiona.

— Czy pan naprawdę miałby ochotę?

— Ależ, naturalnie! Spełniłbym tylko dobry uczynek, co sprawiłoby mi ogromną przyjemność. — To mówiąc delikatnie uścisnął jej dłoń.

Ewelina cofnęła się odruchowo. Zdawała sobie sprawę, że najwłaściwiej byłoby odtrącić tego zuchwalca i wskoczyć do najbliższego autobusu. Coś ją jednak przykuło do miejsca. Jeżeli ten sympatyczny nieznajomy rzeczywiście mo ochotę kupić dla niej suknię, to czemuż miała by się na to nie zgodzić? Bardzo możliwe, że to jest jakiś ekcentryczny milioner, który nie wie, co robić z pieniędzmi.

— O ile to nie sprawiłoby panu trudności, — zaczęła wahająco, czując że oblewa się silnym rumieńcem. — Chciałabym istotnie mieć tę toaletę...

— A więc przyjmuje pani ode mnie ten prezent?

— Tak... Ewentualnie....

Po chwili weszli do magazynu. Ewelina szybko narzuciła na siebie suknię, zaś sprzedawczyni, spojrzawszy na nią, powiedziała z uśmiechem, że ma wyjątkowo zrabną figurkę.

— Wygląda pani zachwycająco, — dodała przypochlebnie.

Młodej dziewczynie z wielkiego wzruszenia wystąpiły na twarz silne rumieńce, a oczy gorączkowo błyszczały.

Nieznajomy kazał zapakować suknię i zapłaciwszy należność, ujął Ewelinę pod ramię i wyszedł.

— Bardzo panu dziękuję, — szepnęła gdy znaleźli się na ulicy.

— Och, drobnostka, — wzruszył mężczyzna ramionami, podając jej rachunek.

— To było doprawdy bardzo ładne z pańskiej strony. Nigdy tego nie zapomnę. A teraz dowidzenia.

— Niech pani jeszcze nie odchodzi— zawołał mężczyzna. — Pragnąłbym z panią wypić filiżankę kawy. Pojedziemy do jakiejś zacisznej kawiarenki. Tutaj, niedaleko, stoi moja maszyna. Odwiozę panią później do domu.

— Nie, doprawdy nie mogę, matka niespokojna, — opierała się Ewelina, w której nagle obudził się strach przed nieznajomym.

— Niechże pani nie będzie uparta. Chyba wolno mi zaprosić panią na kawę.

Zamierzał ją właśnie wepchnąć do auta, gdy naraz tuż za nimi rozległ się piskliwy głos niewieści:

— Hallo Tolku! Dokąd się udajesz?

Jakaś korpulentna dama wyrosła nagle przed nimi obrzucając dziewczynę nieufnym spojrzeniem.

— Kto to jest? — zapytała wskazując bez ceremonii palcem na Ewelinę. — A co jest w tym pudle.

Tolek spojrzał na nią zmieszany.

— Widzisz... Zobaczyłem na wystawie piękną suknię, — zaczął jąkając się — i zdawało mi się, że będzie w sam raz dla ciebie. Właśnie ta oto panienka zamierza ci ją odnieść do domu.

— To doprawdy bardzo uprzejme z twojej strony. — Twarz otyłej niewiasty rozpromieniła się radosnym uśmiechem,— Jakiś ty poczciwy, pamiętając, że dziś są moje urodziny! Chciałam sobie właśnie kupić kapelusz, ale ponieważ spotkałam cię, pojedziemy już razem do modystki. Proszę wsiąść z nami — rzekła tonem rozkazującym do oszołomionej Eweliny.

Gdy przyjechali przed dom, dama zwróciła się do Eweliny:

— Wysadzimy panią tutaj. Proszę wejść do naszego mieszkania i odać pudło pokojówce.

Naraz Ewelinie strzeliła do głowy myśl. To, co chciała uczynić nie było wprawdzie zbyt uczciwe, ale ten stary lowelas nie zasługiwał na nic lepszego.

— Ponieważ szanowna pani nie wraca do domu prosiłabym o uregulowanie należności. — Tu wyjęła rachunek i podała go mężczyźnie. Ten spojrzał na nią zdumiony, bojąc się jednak skandalu, mruknął coś pod nosem i wyjął portfel.

— Nie trzeba! zawołała jego otyła małżonka.

— Mam właśnie przy sobie gotówkę i bardzo mi się spieszy. Możesz być spokojny, — zwróciła się do mężczyzny — że pieniądzę odbiorę sobie przy najbliższej sposobności — Otworzyła torebkę i wręczyła młodej dziewczynie 8 tysięcy złotych.

Uśmiechając się filuternie wyskoczyła Ewelina z auta i, przyciskając do siebie drogocenne pudło, podążyła do pierwszorzędnego magazynu obuwia, aby tam sobie wybrać za otrzymane pieniądze odpowiednie pantofelki do swej nowej wizytowej sukni.

Prenumerata „Pobudki" (wraz z odnoszeniem do domu) miesięcznie zł 12. kwartalnie zł 35.

CENY OGŁOSZEŃ. Drobne: za wyraz petitowy poza tekstem 5 zł. Inne ogłoszenia: za milimetr — szpalta poza tekstem zł 14.—. w tekście zł 21.—

Redagują: St. Juszczyk. G. Timofiejew. H. Wachowicz   Wydaje Wojewódzki Komitet PPS w Łodzi

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 68, front II p., tel. 112-54. Godziny przyjęć 12—13. Rekopisów nie [illegible]
Administracja: Łódź, St. Jaracza 45 tel 141-47 Skrytka pocztowa nr 7.   D-012251
Odbito w drukarni „Wiedzy" Nr. 6. Łódź, Kilińskiego 87.

Oszczędność prądu jest nakazem chwili!

W związku z nadejściem okresu jesiennego i zimowego Elektrownia Łódzka zmuszona jest wprowadzić ograniczenia w zużyciu energii elektrycznej.

Ograniczenia te wprowadza się w godzinach obciążenia szczytowego od godz. 6-ej do 11-ej i od 15-ej do 21-ej, podczas których ZABRANIA SIĘ

1. Używania:
   a) **piecyków elektrycznych do ogrzewania mieszkań, biur, sklepów, restauracji i drobnych zakładów przemysłowych;**
   b) **kuchenek elektrycznych do gotowania;**
   c) **żelazek elektrycznych.**
2. Nadmiernego oświetlenia: mieszkań, sklepów, wystaw sklepowych, restauracji, cukierni, lokali rozrywkowych i pomieszczeń fabrycznych.
3. Uruchamiania silników studziennych.

Powyższe dotyczy wszystkich odbiorców energii elektrycznej: osób i instytucji prywatnych, jak również instytucji samorządowych, państwowych i użyteczności publicznej.

Dostosowanie się abonentów do naszych zarządzeń umożliwi wszystkim stałe korzystanie z energii elektrycznej oraz wydatnie wzmoże dostawę prądu dla przemysłu.

W wypadku niezastosowania się do naszego wezwania oporni odbiorcy pozbawieni będą energii elektrycznej na cały okres zimowy.

ELEKTROWNIA ŁÓDZKA

Łódź, w grudniu 1946 r.

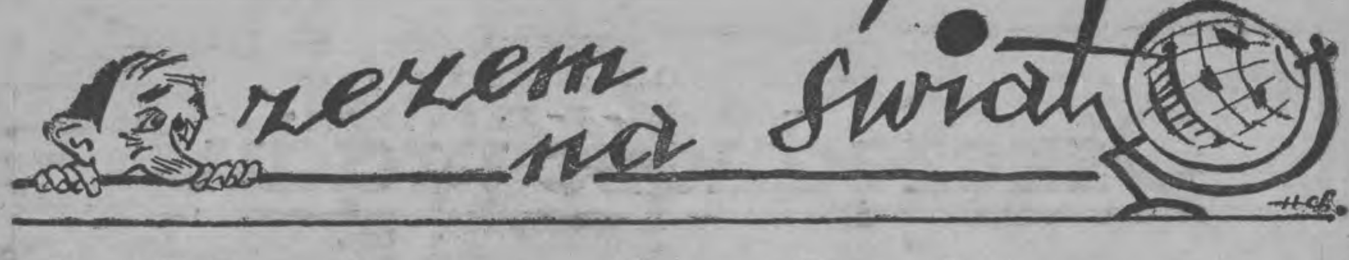

Felieton świąteczny

I to się uważacie, nazywają święta... co?... Bez rybki, co?... Bez śledzia, co?... Granda, psiakrew... I tyle... Nieprawda?

A mówiłem!... A mówiłem, uważacie, żonie i przestrzegałem. Jeszcze na wiosnę, kiedy to na kartki dawali tylko śledzie, w pracy na deputat — śledzie, w stołówce na obiad — śledzie, zamiast reszty w sklepie — śledzie, mówiłem wtedy: schowaj!... odłóż na czarną godzinę!... pamiętaj, że oszczędnością i uczciwą pracą — ludzie się bogacą!...

Ale bo to słuchała wtedy?...

Nie chciała oszczędzać. Na śniadanie i na kolację dawała śledzie. Żebrakom zamiast pięciu złotych, dawała śledzie. Z ogonków od śledzi zrobiła miotełkę do odkurzania ścian. A teraz?...

Eee!... szkoda słów!...

Chociaż nie tylko do żony mam pretensję. Bo św. Aprowizacja też tu nawaliła... No, bo niby, że tak powiem, o szarego obywatela mogłaby uczciwiej dbać... No bo to, że tak powiem, mogłaby przydzielić choć po pół ulika na twarz, żeby ten kieliszek monopolówki można było czymś przegryźć...

Ale to zawsze tak... Biednemu — to i wiatr w oczy wieje. Biednemu to nawet ucha od śledzia nie dali, psiakrew....

I pod co tu pić?... I pod co tu całować się z łezką w oku?... Przy czym życzyć sobie wszelkiej pomyślności i co tu dzieciom na gwiazdkę dać, jak tu ani śledzia, ani rybki?...

Granda, uważacie, i już... Nieprawdą?...

Chociaż.... Chociaż może Aprowizacja miała w tym swoje wyrachowanie?... Może dlatego na przydział nie dali tych kardynalnych wiktuałów, żeby ludzie nie mówili, że to przed wyborami zamiast kiełbas wyborczych — wyborcze śledzie dali?... Kto wie, że tak powiem...

Co innego, że gdyby nawet faktycznie, ten szary obywatel z wyrachowania politycznego był tylko poszkodowany, to i tak krew mnie zalewa.

Raptus, uważacie, jestem i z byle okazji, wątroba się we mnie przewraca i wtedy — nie podchodź do mnie, że tak powiem... Chyba, że żona jest w pobliżu, to wtedy potrafię się uspokoić...

Ale co tam!... Nie dali śledzi, to śledź z nimi tańcował!... To co o tym myślałem — powiedziałem, że tak powiem i — amen.

I teraz z Wami, kochani Towarzysze, chcę trochę porozmawiać. Tylko z Wami, bo gdybym chciał i z Towarzyszkami, to rozumiecie... nieprawda?... Żona... małżeńska rozmowa... i wogóle...

Niektórzy z pośród Was znają mnie już oddawna, inni — od niedawna, jedni wiedzą nawet kim jestem naprawdę, inni — chcieliby wiedzieć...

Z wieloma z pośród Was rozmawiałem, z niektórymi nawet wódkę piłem, do innych nawet przemawiałem, chociaż nie zawsze wiedzieli, że to był właśnie — Marek.

Wiem, i to mówię bez zarozumiałości, że mam wielu przyjaciół w Łodzi, w Piotrkowie, w Radomiu, Częstochowie, Szczecinie... Często w rozmowach, nie znając mnie, niektórzy z Was pytają — kto zacz ten Marek.

I to wszystko — nie jest tak bardzo ważne. Ważnym jest — że ja Was wszystkich szalenie lubię. Wszystkich czytelników — „Pobudki" i wszystkich ludzi z pod naszych sztandarów.

I dlatego dziś pozwoliłem sobie w tym momencie na trochę inny ton, niż zawsze. Dlatego — zacząwszy jak zawsze trzpiotowato, chcę teraz Wam powiedzieć kilka słów — na serio.

Chcę Wam powiedzieć, a ja — Marek, jestem przecież członkiem tej naszej wielkiej rodziny, rodziny socjalistycznej, chcę powiedzieć każdemu z osobna, że należeć do tej rodziny — to zaszczyt i honor.

I kiedy Wy wszyscy będziecie składali sobie już w ściślejszym gronie rodzinnym życzenia — to dołączcie do nich i moje.

Niech Wam się dobrze wiedzie! Niech Wam za rok będzie lepiej — niż dziś! i pamiętajcie, że będzie Wam wtedy lepiej, gdy w budowaniu tej lepszej przyszłości nie zabraknie Waszych rąk... Pamiętajcie, że każdy dla siebie buduje lepsze dni. Dla siebie — i dla innych.

Pamiętajcie w każdej chwili, o jak wielkie zawołania walczymy i pracujemy, pod jakimi sztandarami kroczymy i jakie obowiązki nakłada na nas przynależność do tej potężnej rodziny — rodziny polskich socjalistów.

O tym pamiętajcie w dniu — który oby był dniem narodzin Człowieka!... Bo Człowiek — to wielka rzecz!...

marek.

Pomogę ci! Szaldaresie,
Bo bardzo podobasz mi się,
Zwłaszcza że wspieram każdego
Biednego i krzywdzonego!

Wcześniej niż w ubiegłym, ponoć
ma przybyć „Zimowa pomoc".
Nie łudźmy się, bo się zdaje,
Że nadejdzie gdy śnieg staje.

„Pokój ludziom dobrej woli",
Anioł w śniegu się mozoli,
O miłości ludziom gada,
I chór wilków odpowiada.